

MARIAN WOODRUFF

KOMPUTEROWA MIŁOŚĆ

ROZDZIAŁ 1

Mam dosyć tych kretyńskich serduszek i kwiatków - burknęła Joan Hallory, po czym oparła wyzywająco rękę na biodrze i głośno westchnęła. - W tym roku moglibyśmy bardziej się postarać i wymyślić coś nowego.

Potakująco skinęłam głową. Co roku liceum Whitney organizowało międzyszkolny bal z okazji dnia świętego Walentego, popularnych Walentynek. Bez tej imprezy czternasty lutego przypominałby Święto Dziękczynienia bez indyka. Ale Joan z pewnością ma rację. Walentynkowe bale przestały być zabawne - przynajmniej zdaniem, organizującego je komitetu. W tym roku, tak jak w zeszłym i we wszystkie poprzednie lata, skończy się na wycinaniu serc z czerwonego papieru., a potem na naklejaniu ich na koronkowe serwetki, chyba że ktoś wpadnie na inny pomysł.

Nie żebym miała coś przeciwko sercom - zwłaszcza mojemu własnemu, do którego, pomijając oczywiste względy, jestem bardzo przywiązana. Mam siedemnaście lat i byłam zakochana dokładnie cztery razy. Pierwszych dwóch chyba nie powinnam liczyć, bo chodziłam wtedy do podstawówki, a obiektami moich westchnień za każdym razem byli nauczyciele, obydwaj błogo nieświadomi mojej obsesji na ich punkcie. Trzeci raz liczy się trochę więcej, ponieważ zakochałam się w starszym bracie mojej najlepszej przyjaciółki, Meredith Hopkins. Kiedy sobie o nim przypomnę, jest mi głupio, ponieważ teraz widzę, jaki był naprawdę, to znaczy prawdziwy kretyn, jak wszyscy starsi bracia, no ale wtedy całkiem odjęło mi rozum. Wystarczyło, że się do mnie odezwał, a już dostawałam dreszczy, choć zwykle mówił do mnie tylko coś głupkowatego w stylu: Hej, Alex, lepiej zabierz rower z podjazdu, bo będziesz wracała do domu na naleśniku!

Alex to moje imię. W rzeczywistości brzmi Alexis, ale wszyscy nazywają mnie Alex. To imię doskonale do mnie pasowało w dzieciństwie, kiedy nosiłam włosy związane w kucyki i czapkę baseballową, a z kolan i łokci zawsze zwisały mi plastry - ludzie ciągle brali mnie za chłopca. Patrząc na mnie teraz, nawet byście nie pomyśleli, że kiedyś byłam mistrzem we wspinaniu się na drzewa.

Nadal jestem tą zwyczajną równiachą, nadal jestem raczej chuda, tylko nie czeszę się już w warkoczyki i nie muszę opatrywać kolan plastrami. Mam krótkie, kręcone, miodowe włosy, dokładnie takiego samego koloru jak sierść naszego kota, który nazywa się Butternut. Do tego mam niebieskie oczy i od czasu do czasu się malują. Moimi atutami są zgrabny prosty nos oraz podbródek z dołeczkiem lekko przesuniętym na jeden bok. Bardzo interesujący punkt mojej urody, jak często powtarza moja babcia. Co do babci, to cna jest

naprawdę niesamowita, Mieszka z nami - chyba że akurat przebywa na jednej z tych swoich wypraw. Teraz jest u nas z wizytą, co znaczy, że jej przyczepa kempingowa stoi na podjeździe do czasu, aż babcia podejmie decyzję, dokąd znowu się wybierze.

Ale wracajmy do spraw sercowych. Tak na poważnie to zakochałam się dopiero zeszłego lata, kiedy spotykałam się ze Scottym Morgensternem. To nasze chodzenie trwało prawie całe trzy miesiące. Poza zwykłymi rzeczami, takimi jak wycieczki na plażę i przejażdżki rowerami, często trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się i rozmawialiśmy o tym, co będziemy robili, kiedy rozpocznie się szkoła. Trudno mi powiedzieć, dlaczego nam nie wyszło. Na skutek nowego podziału administracyjnego Scotty został przeniesiony do innego liceum i chociaż po rozpoczęciu roku szkolnego jeszcze kilka razy się spotkaliśmy, to coś się między nami popsulo. Kiedy teraz o tym myślę, wcale nie żałuję, że tak się stało. Poza tym, że obydwójce lubiliśmy *Wojny Gwiezdne* i lody, nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

Nadal jeszcze od czasu do czasu o nim myślę. Są to przyjemne wspomnienia, ale nic ponadto. Wiecie, to ten rodzaj uczucia, które nas ogarnia, kiedy przypominamy sobie udane wakacje, tylko że nie wydają się one już takie rzeczywiste. Zwłaszcza kiedy się idzie do szkoły w deszczowy poranek.

Nie jestem pewna, czy jeszcze kiedyś się zakocham - chociaż bardzo bym chciała. Meredith uważa, że mam za duże oczekiwania, że chcę, żeby wszystko było idealne. Nie chłopak, oczywiście, bo sama jestem daleka od ideału. Ale cóż, chciałabym mieć dobry kontakt ze swoim chłopakiem. Uważam, że powinniśmy interesować się podobnymi sprawami, ale ponieważ wiele moich ulubionych zajęć ludzie traktują jak dziwactwa, sądzę, że trudno mi będzie kogoś znaleźć.

Na przykład komputery. Mam na ich punkcie prawdziwego hopla. Można powiedzieć, że zainteresowanie nimi przekazano mi w genach, bo mama i tata pracują w branży komputerowej. Mama jest programistką w dużej firmie, która nazywa się Intel, a tata pracuje w dziale handlowym firmy Apple.

Nie wiem jeszcze, który kierunek wybiorę po skończeniu liceum, ale jestem pewna, że tak czy inaczej będę miała coś wspólnego z komputerami. Na razie chodzę na kurs komputerowy i w ramach stażu obsługuję komputer w szkolnym biurze rachunkowym. Sami widzicie, o czym mówię. Prawdziwy świr komputerowy i dziwaczka. Za każdym razem, kiedy zaczynałam mówić o komputerach, Scotty patrzył na mnie tak, jakbym przyleciała z Marsa.

Jedynym chłopakiem, który mnie rozumie, jest Tom Jurgensen. Pracuje razem ze mną w rachunkowości. Jest takim samym fanatykiem komputerów jak ja i gdybyśmy tak bardzo

się nie kłócili, pewnie byśmy do siebie pasowali..

- Gdybyś umiała napisać program komputerowy, który zaplanowałby ci życie, pewnie byś to zrobiła - żartował sobie ze mnie wczoraj.

Nagle przypomniała mi się ta głupia uwaga Toma i wpadłam na pewien pomysł... Pomachałam ręką.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy, ale musicie przyrzec, że nie będziecie się śmiać.

Poczułam na sobie skupione spojrzenie sześciu par oczu, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że członkowie komitetu desperacko poszukują natchnienia. - Wszystko będzie lepsze niż „Sugar and Spice” - mruknął Henry Bollings. Nawiązywał do motywu przewodniego zeszłorocznego balu. - Więc strzelaj, Alex, posłuchamy. Joan pochyliła się.

- Tak, przyrzekamy, że nie będziemy się śmiać, nawet jeśli twój pomysł okaże się bardzo głupi. - Przyłożyła do ust rękę z czerwonymi paznokciami, dławiąc chichot.

- Cóż, pomyślałam sobie, że moglibyśmy wprowadzić nieco nowoczesności. Serduszka i kwiatki są w porządku, ale w końcu mamy erę komputerów...

Jacki Russo jęknęła głośno.

- O nie, znowu. Naprawdę, Alex, nie potrafisz myśleć o niczym innym tylko o komputerach? Poza tym nie wiem, co to może mieć wspólnego z miłością.

- Chyba że planujesz zakochać się w androidzie. - Larry Mendez prychnął, próbując, zresztą bezowocnie, trafić kulką z papieru do kosza na śmieci.

Henry roześmiał się.

Popatrzyłam na niego ze złością. - Przyrzekliście, pamiętasz? - OK, OK - zawołali chórem.

Wprawdzie w tej chwili nie uważałam już, że mój pomysł jest taki wspaniały, ale jestem uparta, więc mówiłam dalej. Kiedyś, kiedy miałam siedem czy osiem lat, zjadłam całego ogromnego arbuza tylko dlatego, że mój brat, Gordy, założył się, że mi się to nie uda. Nie przejmowałam się, że następnego dnia bolał mnie brzuch; liczyło się tylko to, że zjadłam całego arbuza.

- Słuchajcie - zaczęłam, zmierzając do sedna - sprzedaż biletów na bal idzie bardzo wolno. Wiemy, że kupują je wcześniej przede wszystkim pary, a więc zostaje mnóstwo osób, które albo kupią bilety w ostatnim momencie, jeśli znajdą partnera, albo po prostu zostaną w domu i nie będą sobie niczym zawracały głowy. - Nie wspomniałam, że ja sama należę do tych, którzy nie mają pary. - A gdybyśmy tak znaleźli sposób na połączenie samotników? Coś wystrzałowego! Coś, co nigdy wcześniej nie było robione? - Naprawdę się zapaliłam.

- Ciekawość zaraz mnie zabije. - Jackie jęknęła, potrząsając czarnymi włosami.

Inni też wydawali się zainteresowani. Larry pochylił się, a Henry odłożył spinacz, którym się do tej pory bawił.

Nabrałam głęboko powietrza.

- A gdybyśmy tak dali ludziom do wypełnienia kwestionariusze, a potem wsadzili je do komputera, no wiecie, tak jak w tych komputerowych swatkach, które ogłaszają się w gazetach.

Joan gwałtownie podniosła głowę; jej pomalowane niebieskim cieniem oczy zaokrągliły się z zaciekawienia.

- Hej, to niezły pomysł. Zupełnie niezły. W gruncie rzeczy...

- Doskonały! - wtrącił się Larry. - Alex, muszę ci to przyznać. Jak na kogoś sfiksowanego na jednym punkcie, masz naprawdę głowę na karku.

- Dzięki za komplement - odparłam, rzucając w niego gumką, ale chybiłam przynajmniej o milę. To, co powiedział, wcale nie jest prawdą. Fakt, że kocham komputery, nie oznacza, że myślę tylko o nich. Lubię też wiele innych rzeczy. Lubię jeździć na rowerze, pływać łódką i czytać powieści detektywistyczne.

Tak czy inaczej, wszyscy się zgodzili, że mój pomysł z komputerowym swataniem jest naprawdę fajny. Nie mogłam się doczekać, aż powiem o nim Meredith. Postanowiłam, że ona będzie moją pierwszą klientką - świnką doświadczalną.

Henry zaproponował, żeby dekoracja także nawiązywała do komputerów.

- Możemy zrobić coś w kosmicznym stylu. Wiecie, pełno srebrnych serpentyn, obrazki z kosmosu itd.

- Moglibyśmy też dodać do ponczu trochę raketowego oleju napędowego - chichocząc podsunęła pomysł Jacki.

- No nie wiem... taka dekoracja nie wydaje mi się zbyt romantyczna. - Ładniutka blondynka, Anna Pritchard, założyła jedną nogę na drugą. - Może jednak dodamy gdzieś kilka serc...

Ann jest nieuleczalną romantyczką, wszyscy o tym wiedzą. Od początku roku zdążyła się już zakochać w przynajmniej tuzinie chłopaków; właśnie zerwała z ostatnim, Brattem Markeyem. Na szczęście nawet jej podobał się pomysł z komputerowym swataniem.

- Alex, twój pomysł jest bombowy. - Zielone oczy Ann lśniły entuzjazmem. - Kiedy zaczynamy? Miałam iść na tańce z Brattem, ale wygląda na to, że nici z tego i sama redę potrzebowała kogoś do pary. Nie mogę się doczekać, kogo wybierze dla mnie komputer. - Tylko Ann, z jej uroczą twarzą i równie wspaniałą figurą, mogła sobie pozwolić na taką wypowiedź.

Postukiwałam gumką od ołówka o przednie zęby. Zawsze tak robię, kiedy myślę.

- Najpierw musimy wymyślić pytania do kwestionariusza - stwierdziłam. - Potem zostaje już tylko proste zaprogramowanie komputera i wprowadzenie danych. Może pan Skorski pozwoli mi to zrobić w ramach pracy domowej.

- To właśnie nazywam ruszaniem głową - rzucił Henry.

Nagle wszyscy zaczęliśmy mówić jednocześnie. Każdy miał jakieś sugestie dotyczące pytań do kwestionariusza i sypał nazwiskami osób, które z chęcią skorzystają z usług komputerowej swatki. Do końca przerwy obiadowej udało nam się stworzyć listę pytań, z którą komputer powinien sobie poradzić. Oprócz tradycyjnych o wiek i płeć, wzrost i wagę, hobby, zainteresowania i tak dalej, umieściliśmy też w kwestionariuszu zestaw pytań z odpowiedziami do wyboru.

1. Jak ważna jest dla ciebie atrakcyjność wyglądu partnera?

- a) absolutnie podstawowa
- b) ważna, ale to nie wszystko
- c) nieistotna, jeśli tylko on/ona ma interesującą osobowość

2. Jakie cechy najbardziej podziwiasz u swojego partnera?

- a) lojalność i szczerść
- b) poczucie humoru i wesołość
- c) niezależność

3. Jakich cech najbardziej nie lubisz?

- a) zaborczość
- b) flirtowanie z innymi
- c) gadatliwość
- d) małomówność

4. Gdyby ktoś dał ci darmowy bilet, który z nich sprawiłby ci największą radość?

- a) na balet
- b) koncert rockowy
- c) do kina
- d) na mecz piłkarski
- e) do Disneylandu

5. Jak najchętniej spędziłbyś/spędziłabyś wolne sobotnie popołudnie?

- a) opalając się na plaży
- b) szperając po sklepach z antykami lub muzeach
- c) czytając książkę

- d) robiąc zakupy odzieżowe
- e) uprawiając ulubioną dziedzinę sportu

6. Jaką muzykę lubisz?

- a) klasyczną
- b) jazz
- c) rock
- d) country

7. Kiedy wyobrażasz sobie, że jesteś ze swoim partnerem, w wyobraźni widzisz, że

- a) trzymając się za ręce, spacerujecie po plaży przy zachodzie słońca
- b) tańczycie na balu uczniowskim
- c) dzielicie się kanapką
- d) całujecie się

8. Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- a) naturalnie
- b) czasami
- c) to zdarza się tylko w książkach

9. Jakim byłbyś/byłabyś zwierzęciem w przyszłym życiu?

- a) koniem
- b) psem
- c) kotem
- d) mewą

10. Gdyby twoje życie miało być podstawą dla scenariusza programu telewizyjnego, jaki nadałbyś mu tytuł?

- a) „Żywot upadłych
- b) „Dzień po dniu”
- c) „Szczęśliwe dni”
- d) „Największy bohater Ameryki”
- e) „Statek zakochanych”

Przyznaję, że niektóre z pytań brzmiały nieco dziwacznie, ale uznaliśmy, że kwestionariusz musi ludzi zaciekawić. Poza tym dopiero po uzyskaniu wszystkich odpowiedzi można będzie wyrobić sobie jakiś pogląd na całość.

Jackie przyrzekła, że jeszcze tego samego wieczoru przepisze pytania na komputerze, a ja zobowiązałam się, że zrobię kilka odbitek następnego dnia w biurze.

Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim Meredith.

Chowałam notatki, kiedy podeszła do mnie Ann i poklepała mnie w ramię. Miała rozmarzone oczy.

- Wiesz Alex, chyba po raz pierwszy będę miała szansę na partnera takiego jak ja, a nie kogoś, kto tylko mnie lubi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinęłam niepewnie głową. Ann, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, poddała mi właśnie nowy pomysł. Chyba nawet lepszy od poprzedniego.

Jeśli za pomocą komputera mogę wyszukać partnera dla innych, dlaczego nie miałabym znaleźć kogoś dla siebie?

ROZDZIAŁ 2

Zobaczyłam się z Meredith dopiero przed lekcją wuefu. Stała przed swoją szafką w przebieralni i starała się wbić w kostium kąpielowy - obrzydliwą, workowatą nylonową szmatę. Wszystkie musiałyśmy nosić coś takiego. Nie ulega wątpliwości, że wybrano nam tak brzydkie kostiumy po to, żeby chłopcom na nasz widok nie przychodziły do głowy kosmate myśli - spełniały swoje zadanie wyśmienicie. Nawet Cheryl Tigs wyglądałaby w czymś takim jak cebula.

Opowiedziałam Meredith o pomysłach z komputerową swatką i patrzyłam, jak jej oczy robią się okrągłe ze zdziwienia. Meredith ma piękne niebieskie oczy, niemal fiołkowe, a nad nimi niesamowicie długie i czarne rzęsy. Naprawdę jest szalowa, tylko że o tym nie wie. Jest tak nieśmiała, że prawie mdleje, kiedy jakiś chłopak koło niej przechodzi - Twierdzi, że to dlatego, że ma aparat na zębach i wstydzi się z nim mówić. Ale już za kilka tygodni go zdejmują i wtedy nie będzie miała wymówki.

- Och, Al, to doskonały pomysł! - zawołała. - Ale ja absolutnie nie mogę zgodzić się na udział w tym przedsięwzięciu. Co będzie, jeśli dostanę kogoś, kto mnie nienawidzi? Umarłabym ze wstydu!

Jej policzki zrobiły się szkarłatne, częściowo z wysiłku, jaki wkładała w to, żeby wpełznąć się w kostium, częściowo ze zmieszania. Rozmowy o miłości zawsze ją zawstydzają. Czy naprawdę nie wie, ilu chłopaków marzy o tym, żeby się z nią umówić?

Tak czy inaczej, musiałam działać ostrożnie. Pod tym względem bardzo przypomina mnie. Jeśli już raz coś postanowi, trzeba kufara, żeby zmieniła zdanie.

- Posłuchaj - zaczęłam wywód. - Zamieszczę w kwestionariuszu specjalną uwagę, że nikt nie jest zobowiązany umówić się na bal z wylosowanym partnerem. To tylko dla zabawy - taki wyglup. Poza tym, dam sobie rękę odciąć, że żaden normalny chłopak nie zrezygnowałby z randki z tobą.

- No nie wiem. - Podniosła dłoń do ust i zaczęła nerwowo przygryzać kciuk. - Pamiętasz tamtą randkę w ciemno, na którą mnie umówiłaś rok temu w lecie z tym znajomym Scotty'ego?

Jęknęłam. Jak mogłam o tym zapomnieć? Biedny Stuart okazał się jeszcze bardziej nieśmiały niż Meri. Przez cały wieczór zamienili ze sobą nie więcej niż kilka słów, a na dodatek Stuart akurat się ostrzygł i widać było, jak czerwienią mu się uszy za każdym razem, kiedy choćby spojrział na Meredith. Myślałam, że się rozplacze, kiedy w połowie filmu niechcący rozlał colę na przód jej sukienki.

- Piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce - zapewniłam przyjaciółkę, używając jednego z ulubionych powiedzonek babci. - Poza tym Stuart cię lubił. Pamiętasz kartkę urodzinową, którą ci przysłał?

Meredith uśmiechnęła się krzywo.

- Myślę, że chciał mi jakoś wynagrodzić fakt, że zniszczył mi sukienkę.

- A ja uważam, że był w tobie szaleńczo zakochany, tylko nie miał odwagi ci o tym powiedzieć.

To było za wiele nawet dla Meredith. Trzepnęła mnie ręcznikiem, ale uśmiechnęła się. Postanowiłam się nie poddawać.

- Jesteś umówiona z ortodontą za dwa tygodnie, prawda? - zapytałam, po czym od niechcenia pochyliłam się, żeby niby to rozwiązać buty.

- A co to ma wspólnego z twoim pomysłem?

- Nie rozumiesz? W dzień balu nie będziesz już miała aparatu na zębach. To może być twój wielki debiut. Oszłomisz każdego chłopaka swoim ultra białym uśmiechem.

Wyraźnie zaczynała się łamać.

- Cóż... sądzę, że nie szkodzi spróbować. Nawet w koszykówce masz prawo do trzech podejść.

To jedna ze śmiesznych rzeczy dotyczących Meri - jest zwariowana na punkcie sportu. Koszykówka, piłka nożna, cokolwiek. Patrząc na nią, nikt by się tego po niej nie spodziewał, ale na meczach krzyczy głośniejsz niż wszyscy, których znam. Zawsze uważałam, że jest stworzona na cheerleaderkę.

- Nie będziesz sama - przyrzekłam. - Coś mi mówi, że kiedy już wieść o swatach się rozniesie, czekać mnie będzie więcej roboty niż samego Kupidyna.

Wciągnęłam na siebie wyblakły kostium, który był przynajmniej trzy numery za duży. Wisiał na mnie jak skóra na słoniu. Ramię przy ramieniu ostrożnie stapałyśmy po śliskiej od mydlanej piany terakocie, kierując się do wejścia na basen.

Meredith spojrzała na mnie i zachichotała.

- Coś mi się wydaje, że właśnie znalazłaś doskonałą nazwę dla twojego przedsięwzięcia: Projekt Kupidyn. Pan Skorski będzie zachwycony, kiedy się dowie, że zamierzasz zamienić jeden z jego komputerów w uskrzydłonego cherubina.

- Nie śmieję się. Jeszcze się okaże, że nawet pan Skorski skorzysta z moich usług.

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Jakoś nie wyobrażałam sobie tłuściutkiego i niskiego pana Skorskiego, o okrągłej różowej twarzy i grubych okularach, które zawsze opadały mu na nos, w roli kandydata do romansu.

Weszliśmy na basen, w którym cicho szemrała pomarszczona akwamarynowa tafla wody. Był typowy styczniowy dzień w Kalifornii. Wiedziałam, że kiedy po kilku minutach stania przy brzegu, w oczekiwaniu na gwizdek pani Jansen, wreszcie wskoczymy do wody, wyda się nam ona zaskakująco ciepła. Drząc ustawiliśmy się w szeregu. W nos uderzał zapach chloru.

Meredith trąciła mnie łokciem.

- A co z tobą, Al? Masz wreszcie okazję znaleźć sobie chłopaka doskonałego. - Westchnęła marzycielsko. - Jezu, ciekawa jestem, kto to będzie.

Poczułam, że ściska mi się żołądek. Nie zapędziłam się jeszcze aż tak daleko, żeby próbować wyobrażać sobie swojego wybranka. Ale ciekawość, rozbudzona słowami Meri, zaczęła tworzyć w moich myślach różne kombinacje, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej. Na całe szczęście z tych niezdrowych marzeń szybko wyrwał mnie ostry odgłos gwizdka. Zgięłam kolana i skoczyłam przed siebie, czując, że ciepła woda zamyka się nade mną niczym czyjaś ciepła dłoń.

Wiedziałam jedno: wynik pracy komputera zaskoczy nie tylko mnie, ale także tę drugą stronę.

Masz brudny nos - powiedziałam do przechodzącego obok uśmiechniętego Toma.

- Hej, dzięki, że wyjawiałaś mi tę tajemnicę. A może masz jeszcze jakieś uwagi na temat mojego wyglądu, skoro **już** o tym mówimy? - Bezwiednie potarł obsypany piegami **nos**, na którym został mu ślad po zjedzonych niedawno lodach. - Uważasz, że mam prosty nos? A co z moimi ustami?

Uśmiechnęłam się i wepchnęłam mu w rękę stertę dokumentów.

- Nie martw się ustami. Są tak samo duże jak zawsze.

Tom i ja spędzamy w swoim towarzystwie prawdopodobnie o wiele więcej czasu niż niejedna para małżeńska, za co wcale nie jestem wdzięczna panu Packardowi, naszemu konsultantowi do spraw zatrudnienia, który zarekomendował Toma i mnie w biurze rachunkowym. Prawdę mówiąc, jest nas tu trójka. Tom, ja i Huey, skrót od HUMAC. Maszyna licząca. To raczej dinozaur w porównaniu z nowszymi modelami, ale myśmy już przyzwyczaili się do jego dziwactw.

Tom jest taki jak Huey - dziwaczny, ale na ogół w porządku. W rzeczywistości nawet się przyjaźnimy, oprócz momentów, gdy się ze sobą sprzeczamy. Kiedy go poznałam, pomyślałam sobie nawet, że między nami będzie coś więcej, ale Tom chodził wtedy z jakąś dziewczyną, a i ja nadal spotykałam się ze Scottym.

Był wrzesień, kiedy pan Packard postanowił wybrać dwóch uczniów z kursu

komputerowego do zaliczenia praktyk zawodowych w księgowości. Mieliśmy pracować z Hueyem. Pamiętam, że stałam w biurze i coś robiłam, kiedy do pokoju wpadł wysoki, rudowłosy chłopak i klapnął na najbliższe krzesło, wyciągając przed siebie długie nogi.

Najpierw zwróciłam uwagę na jego orzechowozielone oczy, które zdawały się pobłyskiwać złością, kiedy mi się przyglądał. Włosy miał bardziej rdzawobrunatne niż rude, taka mieszanka orzecha, ciemnego brązu i imbiru. Uśmiechnął się, pokazując perfekcyjnie równe białe uzębienie.

- Zdaje się, że jeszcze się nie znacie - powiedział pan Packard, zastygając z zapalką, którą zamierzał rozniecić ogień w fajce. Machnął nią w stronę Toma. - Tom Jurgensen. A to jest Alexis Randall. Tom niedawno przeniósł się do nas z Soquel. Był najlepszy w swojej klasie. Wy dwoje powinniście się dogadać.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego pan Packard uważa, że znajdziemy wspólny język, kiedy powiedział nam o Hueyu.

- To dla was ogromna okazja - podkreślił. - Prawdopodobnie po maturze już nigdy nie będziecie mieli szansy pracować w takim systemie. Obawiam się, że maszyna licząca z ręcznie sterowaną klawiaturą wkrótce stanie się okazem wymarłym, ale póki co, używając jej, zdobędziecie sporo doświadczenia. - Puścił do nas oczko. - Może nawet nauczycie się czegoś nowego.

Odniosłam niemiłe wrażenie, że Tom któryś raz z kolei mierzy mnie uważnym spojrzeniem. To śmieszne, wiem, ale ilekroć jakiś chłopak mi się przygląda, na jakieś pięć sekund zapominam, jak wyglądam. W moim mniemaniu równie dobrze mógłby patrzeć na strusia o zielonych piórach albo wielbłąda w kropki. Potem przypominam sobie, że to tylko ja, Alex, zwykła, przeciętna dziewczyna, i rozluźniam się.

- Przepraszam, nie dosłyszałem twojego imienia - rzucił Tom niskim i chyba trochę złośliwym głosem. Moim zdaniem, wcale nie wyglądał na komputerowego geniusza, ale z drugiej strony ja też go w niczym nie przypominam.

- Alex. To znaczy Alexis, ale wszyscy nazywają mnie Alex. - W tej chwili moja twarz zamieniła się w płonącą pochodnię.

- Miło mi, Alex - odparł, wysuwając dużą, piegowatą dłoń. - Co powiesz na to, żebyśmy się temu bliżej przyjrzel? Przydałyby mi się dodatkowe punkty i, szczerze mówiąc, ciekaw jestem tego Hueya. Przypomina mi trochę R2 - D2 z *Wojen Gwiezdnych*.

Pan Packard kaszlnął. Sam był wielkim fanem *Wojen*.

- Nic aż tak interesującego - ostrzegł - jednak z pewnością będzie dla was jakimś wyzwaniem.

Miał rację. A ja nie myliłam się co do Toma - był złośliwcem. Uwielbiał stroić sobie z ludzi żarty. Ma siedmioro rodzeństwa i w jego domu ciągle ktoś z kimś się przekomarza, więc sądzę, że tam nabył tę cechę. Ja, z drugiej strony, mam tylko Gordy'ego, który najczęściej siedzi z nosem w książkach i prawie mnie nie zauważa.

Do rzeczywistości przywrócił mnie jakiś przedmiot, który z gwizdem przeleciał mi koło ucha. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Tom uśmiecha się do mnie podejrzanie. Zdjął następną gumkę z pliku kart czytnikowych i strzelił nią w moją stronę. Uchyliłam się przed lecącym pociskiem.

- Wyrabiasz się, dzieciaku. - Fakt, że tak mnie nazywa, straszliwie mnie wkurza, zwłaszcza że jestem od niego starsza o całe trzy tygodnie. - Ale kiedyś cię dopadnę.

- Zaryzykuję - odparłam. Mając nadzieję, że odciągnę jego uwagę, zapytałam go; - Masz te dane, o które prosił pan Mellon? Mówił, że potrzebuje ich do piętnastej.

Tom zaczął odgrywać idiotyczną pantomimę, udając, że jest służącym, który dostaje po plecach batem. Musiałam mocno zagryźć zęby, żeby się nie roześmiać.

- Powiedz Simonowi Legree, że będzie je miał na biurku równo o trzeciej, nawet gdybym musiał chodzić po rozpalonych węglach, żeby je dostać - oświadczył dramatycznie.

Mimo woli prychnęłam śmiechem. Jakby w odpowiedzi na konsoli Hueya zapalił się czerwony guzik. Tom wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, więc postanowiłam go ostudzić.

- Tylko niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy. Potrafię się śmiać także z dowcipów typu: puk, puk, kto tam?

- Hej - rzucił, zmieniając temat. - Nawiazując do palących projektów. Przed chwilą wpadłem na Henry'ego. Opowiedział mi o twoim pomysle. Naprawdę zamierzasz go zrealizować?

- Jakim pomysle? - zapytałam. Wolałam udawać, że nie wiem, o co chodzi.

- Przestań udawać. Ten pomysł z komputerowym swataniem ludzi. - Widziałam, że naprawdę jest zaciekawiony, ale nie rozumiałam, dlaczego. Sądząc po tym, co słyszałam, Tom nie miewa kłopotów ze znalezieniem sobie partnerek na randki. - Rzeczywiście chcesz się tym zająć?

Zrobiłam zdziwioną minę.

- A co? Jesteś zainteresowany?

- Możliwe. - Nie mów, że straciłeś talent do podrywania. zruszył ramionami - Cóż, znasz to powiedzenie, że kiedy nadarza się okazja... - Tylko nie rób sobie nadziei - ostrzegłam;. - Nie mam pojęcia, jakie może być w naszych czasach zapotrzebowanie na

rudowłosych komputerowych geniuszów, w dodatku obdarzonych paskudnym poczuciem humoru.

- Bardzo śmieszne - burknął. Odwrócił się do mnie dopiero kilka minut później, kiedy przestał segregować dokumenty dla pana Mellona. - Mówię poważnie, daj mi znać, kiedy te kwestionariusze będą już gotowe. Chciałbym jeden wypełnić.

- Jasne - odparłam. - Możesz zostać moim pierwszym klientem. Tylko nie wiń mnie, kiedy nie znajdziesz wymarzonej dziewczyny, której szukasz.

Odpowiedział mi naprawdę ciepłym uśmiechem.

- Zaryzykuję, dzieciaku.

ROZDZIAŁ 3

*

Pomóż mi! Duszę się!

Kiedy babcia czegoś potrzebuje, nigdy o to nie prosi, ale zwyczajnie żąda. W tej chwili także nie przypominała potulnego baranka, a raczej zezłoszczone, nieopierzone pisklę wystawiające z gniazda długą szyję. Popatrzyłam na niebieskie oczy złowieszczo zerkające na mnie zza wełnianych frędzli obszernego koca i ogarnęła mnie fala ciepłego wzruszenia.

- Jeśli twoja matka nie skończy z tą nadopiekuńczością, w ciągu tygodnia wyląduje w domu starców! - sarknęła oschle babcia, machając szkarłatnymi rękawami pogniecionego kimona, bardziej niż kiedykolwiek podobna do ptaka.

- Człowiek nie może nawet ułożyć się do drzemki, żeby ktoś nie próbował go udusić!

W tej chwili do salonu weszła mama i poklepała ją po ramieniu.

- Nie unoś się tak, mamó. Nie chciałam, żebyś zmarła. Tak nas przestraszyłaś po swojej ostatniej podróży, że... - Nie skończyła, tylko pokręciła głową i wróciła do kuchni.

Mama nawiązywała do ostatniej eskapady babci do Wielkiego Kanionu, na którą wybrała się tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Zakończyła wyprawę na tratwie pokonującej rzekę Kolorado. Wiecie już, o co chodzi, kiedy mówię, że moja babcia jest zadziwiająca. Zresztą pod względem charakterów jesteśmy do siebie bardzo podobne. Obydwie kochamy przygody i nienawidzimy, kiedy ktoś nam mówi, co mamy robić. Pamiętam, jak babcia się wściekła, kiedy doktor Courtney powiedział jej, że ma zapalenie stawów biodrowych i zaleca jej pozostanie w łóżku przez trzy tygodnie. Dodał też, że jego zdaniem kobieta w jej wieku nie powinna już samotnie wałęsać się przyczepą kempingową po całym kraju. Babcia zapytała go wtedy, czym w takim razie powinna się wałęsać - koniem, a może bryczką?

Kłopot w tym, że mama i tata dzielają zdanie doktora Courtneya. Uważają, że babcia powinna raz na zawsze gdzieś się osiedlić. Tata zaproponował jej nawet, że wyszuka dla niej jakiś miły domek na kółkach w osiedlu dla starszych ludzi, ale babcia odpowiedziała mu na to, że opowiada brednie. Zapytała też, po co jej domek na kółkach, skoro nigdzie nie będzie mogła nim pojechać? Tak się składa, że się z nią zgadzam.

Poza tym nie potrafię sobie wyobrazić, że już nigdy, zaglądając do skrzynki na listy, nie znajdę w niej pocztówki od babci ze skreślonymi pospiesznie koślawymi pozdrowieniami na odwrocie. Powinniście zobaczyć mój pokój - jego jedna ściana cała jest zajęta pocztówkami, tak że przypomina układankę dla dzieci z obrazkiem Stanów Zjednoczonych.

Babcia zwiedziła chyba cały świat, a kiedy wraca do nas na jedną ze swoich „wizyt”, przywozi ze sobą mnóstwo prezentów. Pewnego razu podarowała mi srebrne kolczyki z turkusami, które kupiła w indiańskim rezerwacie niedaleko Tucson. Innym razem naprawdę fajowe kapcie z brytyjskiej Kolumbii. Nazywają się mukluks.

Mama martwi się, że babcia w czasie którejś z tych podróży zachoruje albo zostanie napadnięta i nie będzie obok niej nikogo bliskiego, kto mógłby jej pomóc. Babcia macha na to ręką. Twierdzi, że jeżeli potrafiła zadbać o siebie przez siedemdziesiąt osiem lat, to nie widzi powodu, żeby to się miało teraz zmienić.

Odnoszę wrażenie, że jest trochę zawiedziona, że jej jedyna córka wyrosła na taką konwencjonalną osobę. Pewnie by wolała, żeby mama występowała w cyrku jako akrobatka albo została, na przykład, nurkiem głębinowym. O mnie mówi, że jestem jej zbawieniem - nawet mimo mojego zainteresowania komputerami. Twierdzi, że mam duże szanse nie zmarnować życia, jeżeli już za pierwszym podejściem wspięłam się na sam szczyt Mont Blake. A czego się spodziewała? Nie zamierzałam dać się pokonać komuś sześćdziesiąt lat ode mnie starszemu.

Wetknęłam głowę do kuchni akurat w chwili, gdy mama wyciągała z piekarnika blachę z ogromną jagnięcą nogą. Przyrządziła ją tak, jak lubię - przypieczona na brąz z sokiem wylewającym się z pęknięć w skórce.

Posłała mi nieobecny uśmiech i odsunęła z oczu pasmo jasnych włosów. Mama zawsze jest taka zadumana, kiedy gotuje. Całkowicie się koncentruje na tym, co robi, ponieważ gotowanie to jej pasja. Oczywiście zawsze wszystkim tłumaczy, że fakt, iż lubi gotować, nie oznacza wcale, że jest kurą domową.

- Aha. Alex, ktoś do ciebie dzwonił, kiedy wyszłaś. Zdaje się, że to był chłopak.

Jak na kogoś, kto przez cały dzień pracuje z precyzyjnymi narzędziami, moja mama ma bardzo słabą pamięć.

- Czy się przedstawił? - zapytałam, kryjąc zainteresowanie na wypadek, gdyby okazało się, że dzwonił tylko Henry albo któryś inny chłopak z naszego komitetu.

- Przykro mi, kochanie, to nie ja odebrałam telefon - wyjaśniła przez ramię, obrzucając mnie rozkojarzonym wzrokiem. - Zapytaj Gordy'ego.

Gordy, mogłam się domyślić. Moim zdaniem brat żyje w piątym wymiarze.

Znalazłam go w piwnicy; leżał na brzuchu na podłodze ze słuchawkami od magnetofonu na uszach. Jak zawsze nosem tkwił w książce. Trąciłam go stopą. Ponieważ nie reagował, pochyliłam się i wyłączyłam magnetofon. Dopiero teraz zwrócił na mnie uwagę.

Przekręcił się na plecy i popatrzył na mnie ponuro.

- W ogóle nie doceniasz Beethovena, Al.

- Dziwi mnie, że pamiętasz jego nazwisko, mając tak krótką pamięć - warknęłam.

- To zabolalo - odpowiedział - to naprawdę zabolalo. - Usiadł i opuścił słuchawki na szyję. - O co chodzi? Czemu zawdzięczam tę królewską wizytę?

Wyjaśniam, w razie jeśli dziwi was sposób, w jaki wypowiada się mój brat, że nie jest on normalnym piętnastolatkiem. Można powiedzieć, że pod pewnymi względami jest nawet wyjątkowy. Weźmy szachy. Patrząc na niego, nikt by tego nie powiedział, ale Gordy dwa lata z rzędu zdobył mistrzostwo juniorów w turniejach szachowych okręgu San Francisco Bay. Jest także, jak to się mówi, matematycznym geniuszem. Uczęszcza na specjalny kurs na uniwersytecie, chociaż nadal uczy się w drugiej klasie liceum. W innych jednak dziedzinach nie idzie mu już tak wspaniale. W poprzednim semestrze o mało nie zawałił historii powszechnej. Narzekał, że to dlatego, że musi zapamiętywać te wszystkie daty. Kogo zresztą obchodzi, kiedy Wilhelm Zdobywca podbił Anglię?

Pod względem fizycznym także nie jest do końca normalny. Babcia nazywa go „wysoką szklanką”, miły opis zważywszy na to, że w zeszłym roku w lecie hormony mojego brata zwariowały i nagle wystrzelił w górę jak szalony. Za to jest bardzo szczupły, chociaż praktycznie cały czas coś zajada. Wyobraźcie sobie tyczkę do skoków wzwyż z długimi kasztanowymi włosami, w lotniczych okularach, a zobaczycie mojego brata Gordy'ego.

- Mama mówiła, że ktoś do mnie dzwonił. Wydawało jej się, że to był chłopak.

- A tak. Kiedy byłaś na lekcji nurkowania.

- Wróciłam już dwie godziny temu! - Obrzuciłam brata nienawistnym i pełnym niedowierzania spojrzeniem. - Kto to był? Zostawił jakąś wiadomość?

Gordy wzruszył ramionami.

- Nie powiedział, o co mu chodzi.

- A ty nie zapytałaś? Naprawdę, Gord, czasami jesteś taki ciemny...

Moją tyradę przerwał odgłos dzwonka przy drzwiach wejściowych.

- Alex! - zawołała mama. - Ktoś do ciebie! Gordy skrzywił się.

- To właśnie chciałem ci powiedzieć, ale nie dałaś mi szansy. Powiedział, że przyjdzie.

Zastanawiałam się, kto to może być. Ostatnio nie jestem oblegana przez gości płci męskiej i po zabawie w dwadzieścia pytań z mamą i Gordym moja ciekawość była naprawdę rozbudzona. Gdybym jednak spodziewała się ujrzeć w drzwiach miłość mojego życia, gorzko bym się zawiodła. Przekonałam się o tym, kiedy zobaczyłam, kto stoi w salonie i gawędzi z babcią z taką nonszalancją, jakby znali się od lat.

- Och, to ty. Cześć, Tom - rzuciłam, opadając na najbliższe krzesło.

- Nic nie mów. - Tom posłał mi swój sławny uśmieszek. - Myślałaś, że to Robert Redford?

- Tak, jasne. - Odwdzięczyłam mu się równie złośliwym skrzywieniem ust, w gruncie rzeczy zadowolona, że mój żołądek może się już uspokoić. Przy Tomie przynajmniej nie muszę się starać o to, żeby wywołać dobre wrażenie.

- Co chcesz? - zapytałam.

- To dopiero głupie pytanie - wtrąciła się babcia. - Odwiedza cię młody mężczyzna, a ty nie wiesz, w jakim celu?

Skrzywiłam się, dając do zrozumienia, że mylnie odczytuje sytuację, a przy okazji zauważyłam, że Tom nieco się zaczerwienił.

- Tom jest tylko moim kolegą, babciu - wyjaśniłam śpiesznie. - Pracujemy razem w szkole.

Babcia pogroziła mu palcem.

- To ty jesteś tym kolegą Alex od komputera, tak? słyszałam o tobie. Co za hańba. Dlaczego wolicie marnować czas przy tej skomplikowanej maszynie, zamiast gdzieś się wybrać i zabawić? Moglibyście na przykład nauczyć się łapać na łące bydlę; pasujesz mi na kowboja. Znałam takiego jednego z rudymi włosami...

- Babciu - przerwałam jej, bo wiedziałam, że jeśli pozwolę, by rozpoczęła jedno ze swoich opowiadań, nie skończy przez wiele godzin - mieszkamy nad oceanem, pamiętasz? Nie znajdziesz ani jednej krowy na wiele mil dokoła.

- Ja o pani także wiele słyszałem, pani Weatherby - wtrącił uprzejmie Tom.

- Edna - poprawiła go. - Mów mi po prostu Edna. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Ale teraz to nieważne. Pójdę już. Jestem pewna, że macie sobie wiele do powiedzenia. - I odpłynęła powiewając kimonem.

- Twoja babcia jest bardzo wdechowa - zauważył Tom, kiedy zostaliśmy sami. - Szkoda, że moja nie jest chociaż trochę do niej podobna. Jedyne jej zainteresowaniem jest robienie na drutach skarpet. Chyba jako jedyny w okolicy posiadam dwadzieścia milionów par.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Babcia nawet po śmierci nie sięgnie po druty. Raczej wybierze się w następną podróż swoją przyczepą kempingową.

Tom wskazał na kartonowe pudełko stojące na stoliku do kawy, którego wcześniej nie zauważyłam.

- Dzwoniłem, ale cię nie było - powiedział. - Pomyślałem sobie, że w takim razie

przyniosę to do ciebie, skoro i tak miałem tędy przechodzić.

- Co to jest?

- Kwestionariusze, które Henry i Joan zbierali przez cały dzień. Te, które rozdałaś w szkole w zeszłym tygodniu. Zostawili je dla ciebie w biurze, ale pomyślałem sobie, że chciałybyś je zobaczyć od razu.

- Też pytanie! - Natychmiast zapomniałam o Tomie i rzuciłam się na pudło. - O rany, tu jest ich chyba setka! Nie spodziewałam się aż takiego zainteresowania.

Tom roześmiał się.

- Znasz to powiedzenie, że miłość bywa ślepa. Cóż, wygląda na to, że przez następne kilka tygodni wiele osób będzie na siebie niechętnie wpadało.

Usiadłam ciężko na naszej wielkiej kanapie i zaczęłam wertować kwestionariusze.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę! Mam już gotowy program, a pan Skorski dał mi nawet za to punkty. Muszę tylko wsadzić dane do komputera i Projekt Kupidyn wystartuje.

- Projekt Kupidyn? - zapytał, unosząc wysoko złotą brew. - Brzmi nieco podstępnie. Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz. Po wszystkim może się do ciebie zgłosić pełno zawiedzionych klientów.

Zaczynał mnie już irytować. Znane mi uczucie.

- Co ty o tym wiesz? - odgryzłam się. - Raczej nie jesteś ekspertem w łączeniu par. Żeby się zakochać, trzeba trochę więcej niż... niż wymachiwanie batutą.

Te ostatnie słowa same mi się jakoś wymknęły. Nawiązywałam do Marcii King, dziewczyny, z którą ostatnio Tom się spotykał. Tak się składa, że Marcia jest mistrzynią w podrzucaniu pałeczkami i właśnie tym oczarowała wielu chłopaków z Whitney.

Tom uśmiechnął się krzywo, a jego orzechowe oczy zabłysły złowrogo.

- Marcia jest dobra nie tylko w podrzucaniu batutą - odparł. - Potrafi także zrobić doskonały użytek ze swoich wspaniałych ust.

Popatrzyłam na niego z obrzydzeniem.

- Nie rozumiem, po co zajmujemy się twoim życiem intymnym.

- W porządku, porozmawiajmy o twoim. Nadal spotykasz się ze Stanem Voakesem?

- Dwie randki to jeszcze nie miłość - poinformowałam go lodowato. - Prawdę mówiąc, nie był w moim typie, jeśli chcesz wiedzieć. - Stan należy do drużyny piłkarskiej i ma świra na punkcie footballu, a ja znowu nie mam o nim zielonego pojęcia. Co więcej, nie chcę mieć.

- To jaki jest twój typ? - naciskał, uśmiechając się coraz szerzej. Rozsiadł się w fotelu babci i wyglądało na to, że czuje się jak u siebie w domu. Zza fotela wysunęła się Butternut i

wskoczyła mu na kolana, po czym, mruczając, zwinęła się w kulkę. Nie mogłam oprzeć się uczuciu pogardy dla niej, że tak łatwo dała się zawojować.

- Odpowiadają mi silni i małomówni mężczyźni - odparłam kpiąco, robiąc minę filmowej amantki.

Spoważniał.

- Nie sądzę, dzieciaku, żeby Huey był zainteresowany. Wiesz, doszły mnie słuchy, że ogląda się za tym dystrybutorem z napojami stojącym w korytarzu.

Znowu mu się udało. Jakimś sposobem Tom zawsze potrafi mnie rozśmieszyć. Zresztą obydwójce pękaliśmy ze śmiechu, aż łzy poleciały nam z oczu. Potem do salonu weszła mama, patrząc na nas tym swoim zdziwionym, a zarazem pełnym zrozumienia spojrzeniem i obwieściła, że obiad jest już gotowy. Zaprosiła na niego Toma. Wahał się przez jakieś dwie sekundy, po czym przyjął zaproszenie i zadzwonił do rodziców, żeby powiadomić ich, że się spóźni.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem pieczoną jagnięcinę - powiedział z oczami jak talerze i zasiadł przy stole zastawionym tłuczonymi ziemniakami, brokułami w sosie holenderskim, chrupiącymi domowymi bułeczkami prosto z piekarnika, no i oczywiście pieczenia ułożoną na liściach mięty i posypaną siekaną pietruszką. - Dla mojej mamy idealnym daniem domowym jest zapiekanka z tuńczykiem.

Co do mnie, to myśli miałam zajęte zupełnie czym innym niż jedzenie. Nie mogłam się doczekać następnego dnia, kiedy pójdę do szkoły i rozpocznę pracę z Projektem Kupidyn. Przeczynałam, że wyjdzie z tego przedsięwzięcia coś naprawdę wielkiego.

Układając kwestionariusze w pudełku, na jednym z nich dostrzegłam nazwisko i imię wypisane szerokimi literami. TOM JURGENSEN. Uśmiechnęłam się.

To się robi z każdą minutą coraz bardziej interesujące.

ROZDZIAŁ 4

Wielkie nieba! - zakrzyknął ze zdumieniem pan Skorski. - Pierwszy raz widzę, żeby uczniowie tak się bili o jakiś kawałek papieru.

Wcale nie przesadzał. Mała zasapana grupka naciskała na mnie z tyłu, czekając niecierpliwie, aż ostatnie strony Projektu Kupidyn zostaną wyplute przez jedyną w szkole drukarkę.

Tego dnia przyszedłam do szkoły wcześniej niż zwykle i natychmiast usiadłam do komputera, żeby wbić do niego informacje z kwestionariuszy. Na całe szczęście liczba dziewcząt i chłopców prawie się sobie równała, chociaż, niestety, kilka osób pozostanie bez pary. Ale w tej chwili nie zwracałam sobie głowy tym problemem - po prostu nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie dostanę w ręce pierwsze wyniki.

Ciche mruczenie maszyny ustało. Z niecierpliwością pochwycałam kartki i rozłożyłam je na pobliskim stole. Stojący dookoła mnie obserwatorzy pochylili się, po czym rozległ się szmer komentarzy.

- Nie wierze! - krzyknęła Janine Parker. - Rory Whitson i Cathy Powers! To prawie jakby rzucić Daniela do klatki z lwami. No, no, to dopiero będą sensacje!

- O rany, popatrz na to - zawołał Steve Devlin, stukając poplamionym atramentem palcem w pierwszy rząd nazwisk. - Niech tylko Cal to zobaczy. Randka z Ramoną Alvarez! To się nazywa mieć szczęście!

Pat Larkin i Denise Walker jednocześnie wybuchnęły nerwowym chichotem. Denise dostała w parze Bruce'a Fairbanksa - oczywiście ogromne zaskoczenie.

- Nigdy by mi nawet do głowy nie przyszło - wymknęło się jej nieświadomie, a jej policzki zrobiły się szkarłatne. - My... my nie bardzo jesteśmy do siebie podobni, przynajmniej z pozoru. Zdaje się, że jednak go dobrze nie znam.

- Raczej z pewnością nie - roześmiała się Pat. - Wiesz, jakie hobby ma Denise? - zapytała kogoś stojącego z boku. - Zbiera lalki. Może Bruce ma podobne zainteresowania, tylko nam o nich nie wspominał!

Zupełnie nie wiem, jakim sposobem komputer połączył jasnawłosą i delikatną Denise z wielgachnym, misiowatym Bruce'em Fairbanksem. Ale świat jest pełen niespodzianek. Może Bruce po cichu w domu robi na drutach tak jak Rosey Grier. Tak czy inaczej, Denise i Bruce mają ze sobą więcej wspólnego, niż sobie dotąd wyobrażali.

Przeglądałam listę, aż odnalazłam Meredith. Teddy Barrett! Nie mogłam się doczekać reakcji przyjaciółki. Zapewne najpierw wpadnie w panikę. Ta para jednak przynajmniej miała

sens. Teddy, jeden z najfajniejszych i najbardziej popularnych chłopców w szkole, był o wiele bardziej przebojowy od Meri, ale łączyło ich jedno zainteresowanie - piłka nożna. Teddy jest kapitanem Whitney Wildcats, a Meredith ich największym fanem. Byłam nawet nieco zaskoczona, że chciało mu się wypełnić kwestionariusz - on z pewnością nie ma problemów ze znalezieniem dziewczyny na randkę. Ale przypuszczam, że tak jak wiele innych osób. zrobił to bardziej z ciekawości niż z desperacji.

Wybuchnęłam głośnym śmiechem, kiedy dotarłam do Gordy'ego. Musiałam nieźle się namęczyć i przymilać do brata, żeby namówić go na wypełnienie kwestionariusza. Teraz z radością stwierdziłam, że moje wysiłki nie poszły na marne. Komputer połączył go z Liz Kingston, przewodniczącą klubu szachistów. Niech no tylko Gordy to zobaczy! Widziałam ich już razem - obydwójce wysocy, chudzi i poważni, siedzą naprzeciw siebie nad szachownicą i każde stara się zmieść z niej przeciwnika. Z pewnością zakochają się w sobie po uszy!

Para Ann Pritchard i Glenn Thomas, chłopak z klasy komputerowej, także mnie rozbawiła. Grali główne role w wystawianym na koniec semestru *Romeo i Julii*. A to przeznaczenie! Inni także zwrócili uwagę na tę parę i zaczęli stroić sobie żarty z Glenna.

Kant Otake ukląkł przed nim i zanucił wysokim falsetem:

- Och Romeo, Romeo, gdzieżeś ty, Romeo?

- Złamię ci szczękę, jeśli zaraz się nie uspokoisz! - warknął Glenn, czerwony po korzonki włosów, ale mimo to chyba rozbawiony. Choć głośno protestował przeciwko żartom na swój temat, to jednak wyraźnie spodobał mu się wybór dokonany przez komputer.

Oczywiście nie obyło się bez jęków zawodu, ale nawet ci mniej zadowoleni z wytypowanych partnerów mieli zamiar udać się na randkę, nie chcąc zranić niczyich uczuć.

Co do mnie, to... jak tylko mogłam najdłużej odwlekałam moment sprawdzenia swojego nazwiska. Czułam, że wpadam w panikę. Co tam znajdę? Czy będzie to ktoś, kogo znam, czy raczej ktoś obcy, a wtedy, jak to już czyniło kilka innych osób, rzucę się do teczki w poszukiwaniu albumu ze zdjęciami wszystkich uczniów szkoły? Nabrałam głęboko powietrza i spojrzałam na wydruk, przygotowana chyba na wszystko, jednak nie na to, co zobaczyłam.

Tom Jurgensen!

Zamrugałam.

Niemożliwe!

Spojrzałam ponownie, chcąc się upewnić, że nie mam halucynacji. Nie, stało tam, czarne na białym. Ale nadal nie mogłam uwierzyć. No, no, tym razem komputer naprawdę nawalił! Byłabym mniej zaskoczona, gdyby połączył księżniczkę Leię z Darth Vaderem. Nie

o to chodzi, że nie lubię Toma. Tylko wynik był taki.., taki niespodziewany. Poza zainteresowaniem komputerami różnił się z Tomem pod każdym względem.

A może nie? Może jest dokładnie odwrotnie - może jesteśmy tak do siebie podobni, że przestaliśmy już zwracać na siebie uwagę?

W głowie tak mi wirowało, że już niczego nie byłam pewna.

Zawiesiliśmy kartkę z wynikami na szkolnej tablicy ogłoszeniowej i do południa w liceum Whitney rozpętało się prawdziwe piekło. Wszyscy mówili tylko o tym, kto kogo dostał, a spekulacjom na temat dalszych losów par nie było końca. Nadal jeszcze pozostawałam w szoku, kiedy późnym popołudniem natknęłam się na Meredith.

Szła tak rozmarzona, że gdyby wpadła prosto na budkę telefoniczną, nawet by tego nie zauważyła.

- Halo - powiedziałam i pomachałam jej ręką przed twarzą.. - Czy ktoś jest w domu?

- O cześć, Alex. - Zamrugła kilka razy. - Przepraszam, chyba się zamyśliłam.

- I pewnie wcale nie myślałaś o Teddym Barrecie, prawda?

Zaczerwieniła się po korzonki włosów, a usta wygięła w enigmatycznym uśmiechu.

- Och, Al, on ze mną rozmawiał! Podszedł do mnie w stołówce i przedstawił się. Tak po prostu! Myślałam, że umrę.

- Dobrze, że tego nie zrobiłaś - powiedziałam z chichotem. - A więc kogo Teddy zabiera na bal?

- To nie wszystko - szepnęła z roziskrzonymi oczami. - On... on chce iść ze mną w tę sobotę do kina. Uwierzysz?.

- Na świecie zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

- Teddy Barrett. To jakiś cud... - Nagle coś sobie pomyślała i przycisnęła dłonie do ust, a na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. - O Boże, a jeśli będzie chciał mnie pocałować?

- Nic gorszego nie mogę sobie wyobrazić - stwierdziłam z udawanym współczuciem.

- Ale aparat na zęby zdejmą mi dopiero w poniedziałek! - z westchnieniem przypomniała Meri. - Pewnie przytnę mu usta albo coś w tym stylu.

Rzuciłam jej pogardliwe spojrzenie.

- Słyszałam już wiele głupich rzeczy. Naprawdę, Meri, gdyby ktoś zorganizował konkurs na zamartwianie się, zajęłabyś pierwsze miejsce. Gdybyś się nie podobała Teddy'emu taka, jaka jesteś, po co miałby zapraszać cię do kina? Weszłyśmy do łazienki. Przed lustrami tłoczyło się tam już kilka dziewcząt, więc musiałyśmy poczekać, aż miejsce się zwolni. Patrice Moyer nakładała brzoskwiniowy róż na pucholowate policzki, przez co

stały się jeszcze bardziej widoczne, a Cathy Fitzgerald z przejęciem malowała rzęsy. Zauważyłam, że się uśmiechnęły, widząc nas w drzwiach.

- Cześć, Alex, cześć, Meredith - zakrzyknęły chórem. Cathy odwróciła się i spojrzała wprost na mnie. - Boże, Alex, zdaje się, że powinnam ci podziękować. Rozmawiałam dzisiaj rano z Ann i ona powiedziała mi, że ten Projekt Kupidyn to twój pomysł. Przyznaję, że wypełniłam kwestionariusz dla żartu. Na początku uważałam, że to głupota. Ale nie miałam racji! Steve Kowalski zabiera mnie na bal.

Patrice zachichotała.

- Kocha się w nim od szóstej klasy.

Znałam obydwie dziewczyny z lekcji przysposobienia do życia w rodzinie. Cathy była wysoka i szczupła, miała burzę kręconych ciemnych włosów oraz parę wspaniałych zielonych oczu. Natomiast Patrice była malutka i okrągłutka. Jej figura zdradzała fakt, że Patrice lubi jeść.

Cahty starła chusteczką nadmiar tuszu z rzęs.

- Kto by pomyślał - powiedziała z westchnieniem. - Pary z komputera.

- Komputery wysyłają rakiety na księżyc - zauważyła ze śmiechem Patrice. - Dlaczego by nie ciebie?

- Ten projekt rozpałił wszystkich jak pożar - stwierdziła Cathy. - Musisz się czuć trochę jak dumny rodzic, Alex.

- Bardziej jak doktor Frankenstein - odparłam, myśląc o Tomie i o sobie. - Zresztą nie zapominajcie, że to dopiero początek i nie wiemy, jak to się wszystko ułoży.

- Zgadza się - przyznała Patrice. - Słyszałam, że Rodney Erickson nie jest zbyt szczęśliwy z połączenia z Brendą Fuller. Zwłaszcza że zerwali ze sobą tydzień temu.

Znowu pomyślałam o Tomie, ale szybko wyrzuciłam go z głowy.

- No cóż, to przynajmniej znaczy, że program zadziałał jak należy - zauważyłam. - Jednak mają ze sobą coś wspólnego.

- Tak, siebie nawzajem. - Meredith parsknęła. Potem, kiedy biegłyśmy do sali gimnastycznej, zapytała:

- A co z tobą i Tomem? Nie mówiłaś mi jeszcze, co o tym myślisz. Jesteś zawiedziona?

- Zawiedziona to złe słowo. Lepiej powiedz: totalnie zaskoczona.

- Dlaczego? - zapytała z miną niewiniątka, ale jej oczy pobłyskiwały przebiegle. - Zawsze uważałam, że z was dwojga byłaby słodka parka.

Zdałam sobie sprawę, że twarz znowu mi płonie. Nie wiadomo dlaczego nagle

wyobraziłam sobie, że całuję się z Tomem. A najgorsze że... myślałam o tym z przyjemnością. Byłam zła na Meredith - ale przede wszystkim zła na siebie.

- Co ty tam wiesz - skrzywiłam się. - Nie mów mi tu o miłości, skoro sama boisz się pocałunku z Teddym Berrettem!

ROZDZIAŁ 5

W sobotę rano komitet balu spotkał się u mnie w domu. Do potańcówki został tylko tydzień, a my nadal nie mieliśmy żadnego pomysłu na dekorację, nie licząc srebrnych balonów sprezentowanych nam przez tatę Henry'ego, który był właścicielem sklepu „1000 i jeden drobiazgów”. Ustaliliśmy, że dekoracja powinna nawiązywać do Projektu Kupidyn. Od mojej mamy dostaliśmy komputerowy plakat przedstawiający serce otaczające głowy całujących się mężczyzny i kobiety. Odpowiednio romantyczny, żeby zadowolić nawet Ann.

- Myślę, że powinniśmy zbudować nasz własny komputer - zasugerował Larry, - Mógłbym pogadać z panem Harveyem od prac ręcznych. Potrzebne by nam było tylko duże pudło i kilka lampek choinkowych.

Wszystkim spodobał się jego pomysł.

- Moglibyśmy wsadzić do środka magnetofon i zrobić efekty dźwiękowe - dodała Joan. - Mielibyśmy mówiący komputer.

- A co byście powiedzieli na całujący komputer? - zapytała Ann, na co w odpowiedzi usłyszała chóralne westchnienie.

- Czy ty jesteś w stanie myśleć tylko o jednym? - zdenerwowała się Joan.

Ustaliliśmy, że to Larry będzie nadzorował budowę komputera, przede wszystkim dlatego, że to on go wymyślił. Ann zaoferowała się, że wytnie wielkie srebrne serca - po ślubie siostry została w jej domu dużo srebrnego papieru pakowego. Zamiast kolorowych girland postanowiliśmy użyć taśm od maszyn Uczących. Całe ich tony wały się w biurze, w którym pracowaliśmy z Tomem. Następne kilka dni spędzę na przeszukiwaniu koszy na śmiecie.

- A może urządzilibyśmy konkurs? - zapytała Jacki. - Głosowanie na najbardziej dobraną komputerową parę.

Drobna, ciemnooka Jacki bardzo często wpadała na najlepsze pomysły.

- Wspaniale - pochwaliłam ją. - Przy drzwiach rozdamy kartki z nazwiskami, które po wypełnieniu wszyscy będą wrzucać do specjalnego otworu w komputerze.

Natychmiast przyszło mi na myśl, że doskonałymi kandydatami na zwycięzców są Teddy i Meredith. To fantastyczna para. Oczywiście postanowiłam nie wspominać Meredith o konkursie. I tak zamieniła się już w kłębek nerwów przed dzisiejszym spotkaniem z Teddym, a przecież wybierali się tylko do kina.

- Wiem, na kogo będę głosował - oświadczył Henry, śmiejąc się. - Na Randy'ego Webera i Doris Wilcox. To dopiero para dziwaków!

- Założę się, że przez cały bal będą robili zdjęcia i to w dodatku sobie nawzajem. - Zachichotałam. Wszyscy znali Randy'ego i Doris; byli zawsze obładowani sprzętem do fotografowania i filmowania i pstrykali ludziom śmieszne zdjęcia, które potem łądowały w albumie szkolnym.

Larry sięgnął po pączka leżącego w kartonie na stoliku i ugryzł go.

- A co powiecie o Bifie Stonerze i Glorii Simons jako Najbardziej Nieprawdopodobnej Parze? Chciałbym o tej dwójce nakręcić film. Dałbym mu tytuł *Niesamowity Hulk* i *Lady Di*.

Wykrzywiłam usta w grymasie. Komputer rzeczywiście w kilku przypadkach stworzył co najmniej osobliwe paty, Gdybym miała głosować na parę najbardziej zdumiewającą, obstawiłabym Toma Jurgensena i Alexis Randall. Oczywiście Tom myślał o tej sprawie to samo co ja. Od tygodnia nie przestawał robić sobie ze mnie żartów. W końcu powiedziałam, że zwalniam go z randki, ale uparł się, że zabierze mnie na bal.

- Jak by to wyglądało, gdyby twoi klienci się dowiedzieli, że twórczym Projektu Kupidyn sama nie wierzy w swoje dzieło? - dopytywał się.

Musiałam przyznać, że ma rację.

- Mogę w ostatniej chwili udać, że się rozchorowałam - zaproponowałam niepewnie.

Tom popatrzył na mnie tym swoim przenikliwym spojrzeniem, a mnie ogarnęło niemiłe przecucie, że ma dostęp do moich najskrytszych myśli.

- Aż tak nie podoba ci się perspektywa spędzenia balu w moim towarzystwie? - zapytał kpiąco i już bez uśmiechu.

Poczułam swędzenie na karku. Potem roześmiałam się sztucznie.

- Myślałam, że oddaję ci przysługę.

- Nie załamuj się, dzieciaku. Mówiąc szczerze, za nic na świecie nie chciałbym stracić tej randki.

- Dlaczego?

Tom puścił do mnie oczko.

- Po prostu jestem ciekawy, czy potrafisz tańczyć fokstrota. Będę miał okazję się przekonać.

Mój problem z Tomem polega na tym, że nigdy nie wiem, czy mówi poważnie, czy żartuje. Może rzeczywiście chce tylko zobaczyć na własne oczy, że mam dwie lewe nogi - prawdopodobnie po to, żeby potem móc naigrywać się ze mnie do woli. Cóż, postanowiłam, że ani razu nie nastąpię mu na stopę. Nie dam mu tej satysfakcji.

Podczas gdy reszta paplała o balu, ja pograżyłam się w rozmyślaniu o stroju. Co na siebie włożę? Miałyśmy tego popołudnia iść z Meri na zakupy, ale ja już kilka dni wcześniej

widziałam na wystawie sklepu „Słodkie Nic” sukienkę, która mi się spodobała. Biała, bawełniana, z paskiem i kloszową spódnicą oraz lekko przymarszczonym, wyszywanym staniczkiem. Wiedziałam, że będzie pasowała do moich pantofelków na wysokim obcasie i srebrnych kolczyków z turkusami od babci.

- Alex, słuchasz? - Joan trąciła mnie łokciem. - Głosujemy, czy podać hawajski poncz, czy sok jabłkowy.

- Co? Och, to nie ma znaczenia. A może jedno i drugie?

Naprawdę mnie to nie obchodziło. Myślami nadal znajdowałam się na balu. Ze zdumieniem stwierdziłam, że nie mogę się go już doczekać.

Meredith padła na zawaloną stertę ubrań ławeczkę w przebieralni.

- Nie mogę - jęknęła. - Nie przymierze już więcej ani jednej sztuki.

Od kilku godzin chodziliśmy od butiku do butiku po obu stronach ulicy Capitola i byliśmy już wykończeni. Wiele z ubrań, które przymierzałyśmy, nie nadawało się na bal, za to były zabawne - na przykład winylowe szerokie spodnie i do tego staniczek cały w cekinach - zdecydowanie nie w stylu Meri. Nie znalazła jeszcze sukienki na bal, natomiast ja kupiłam już swoją w „Słodkie Nic” kilka godzin wcześniej.

Postanowiłyśmy zrobić sobie przerwę i napić się gdzieś gorącej czekolady.

- Nie martw się - podnosiłam przyjaciółkę na duchu, dmuchając na parujący napój. - Masz jeszcze cały tydzień. Zdażymy coś znaleźć.

- Ale nadal nie wiem, w czym wyjdę dzisiaj - stwierdziła Meri, pogryzając anyżowe ciasteczko. - W magazynach mody można znaleźć porady, jak się ubrać, kiedy jesteś za gruba albo za chuda, ale jeszcze nigdzie nie natknęłam się na przepis mówiący o tym, co pasuje do aparatu na zębach.

Wywróciłam oczami.

- Meri, w kinie będzie ciemno, więc Teddy nawet nie zauważy, w co jesteś ubrana.

- Wspaniale. Wielka Randka Znikania - zachichotała, w końcu nieco bardziej zrelaksowana. - Dzięki Bogu, Al, że ze mną idziesz. Bez ciebie pewnie bym się po prostu załamała, a Teddy pomyślałby, że ze mnie niezgorsza wariatka.

- Wiesz co, na wszelki wypadek wezmę ze sobą jakiś ostry przedmiot.

Pomysł na podwójną randkę pojawił się niemal w ostatnim momencie. Teddy zadzwonił do Meri i powiedział, że niespodziewanie odwiedził go kuzyn, który ma spędzić weekend z jego rodziną. Tak naprawdę to ja też się denerwowałam tym wyjściem, ale nie zdradziłam tego Meri, żeby jej jeszcze bardziej nie pogrążyć.

Skończyłyśmy czekoladę i Meredith zawiozła mnie pod dom. Zbliżała się osiemnasta.

Teddy z kuzynem mieli się zjawić po mnie dokładnie za godzinę. Pochłonęłam pospiesznie miskę słynnego chili babci, po czym pomknęłam na górę, by wziąć prysznic.

W drzwiach łazienki powitała mnie chmura pary. Spoza szumu wody doszło mnie niemelodyjne zawodzenie Gordy'ego.

- Da - da - da - dii, da - da - da - dii.

- Nie zużyj całej ciepłej wody! - krzyknęłam. - I pospiesz się, dobrze? Mam randkę!

- Skąd ta pewność, że tylko ty się spieszysz, i masz randkę?

Nagle ożywiłam się, a po chwili uśmiechnęłam domyślnie.

- Niech no zgadnę. Liz Kingston, prawda?

- Jesteś bardzo przenikliwa - padła opryskliwa odpowiedź. - Prawdę mówiąc, wcale nigdzie nie wychodzę, to ona przychodzi tutaj na partię szachów.

Niemal zapragnęłam zostać w domu i zobaczyć, co się tu będzie działo.

- Brzmi ekscytująco. A jeśli Liz wygra?

- Nie ma szans.

- Życzę szczęścia. Słyszałam, że jest bardzo dobrą szachistką.

Po kilku próbach przed lustrem postanowiłam włożyć kolorowe prążkowane levisy i welurową bluzkę. Nie wiedziałam, jak się ubierają tam, skąd pochodzi kuzyn Teddy'ego, ale w naszych stronach, idąc do kina, nie przesadza się z ubiorem.

Ale za to przyłożyłam się do makijażu i wsunęłam we włosy perłowy grzebień od babci, który przywiozła przed dwoma laty z Meksyku. Właśnie wsuwałam go we włosy nad uchem, gdy odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Usłyszałam, że mama poszła otworzyć.

- Oto idzie panna Ameryka - zaintonował pod nosem tata, kiedy zobaczył, jak zbiegam po schodach.

Mój tata jest prawdziwym zgrywusem. Podejrzewam, że to po nim odziedziczyłam takie poczucie humoru. Jest fajny, chociaż bardzo konwencjonalny. Uważa, że osiąga szczyt oryginalności, kiedy zakłada żółty krawat w purpurowe pasy. Zamierzam mu kupić krawat, który widziałam w pewnym sklepie ze śmiesznymi rzeczami. Kiedy naciśnie się przyczepioną do niego spinkę, świeci jak choinka.

W przedpokoju czekali na mnie Meredith i Teddy oraz jego kuzyn, który miał na imię Pete. Chwyciłam zamszową kurtkę z szafki w holu i kiedy tylko wszyscy się sobie przedstawili, szybko machnęłam rodzicom na pożegnanie, nie chcąc, żeby ojciec zdążył rzucić któryś ze swoich sławetnych dowcipów i wystawić mnie na pośmiewisko.

Miałam okazję przyjrzeć się Pete'owi lepiej, gdy usiedliśmy na tylnym siedzeniu

camaro Teddy'ego. Mój towarzysz okazał się nawet przystojniejszy, niż oczekiwałam. Miał niebieskie oczy, tak jak Teddy, i zdrową, śniadą cerę, ale na tym podobieństwo kuzynów się kończyło. Szybko się przekonałam, że Teddy jest bardzo towarzyski i ma wiele osobistego czaru, natomiast po dziesięciominutowej rozmowie z Pete'em uznałam, że zapomniano o nim, gdy obdarzano ludzi wdziękiem.

- Jesteście jakimiś patriotami czy co? - zapytał po długiej chwili krępującego milczenia.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

- Chyba tak, ale dlaczego pytasz?

- Kolory twojego ubrania. Czerwony, biały i niebieski. Tak się tylko zastanawiałem, to wszystko.

Serce mi się skurczyło, gdy dotarło do mnie niezbitcie, że on wcale nie żartuje. Nie wiedziałam, czy mam zanucić kilka taktów hymnu, czy po prostu wybuchnąć śmiechem.

Jednak trzymałam buzię na kłódkę. Nie chciałam, żeby pomyślał, że się z niego śmieję. Jakoś nie wierzyłam, że pozna się na dowcipie.

Droga do kina ciągnęła się niczym wieczność, chociaż trwała nie więcej niż piętnaście minut. Przynajmniej Meri dobrze się bawiła. Cały czas po cichu rozprawiała o czymś z Teddym.

Kiedy weszliśmy do kina, kupiłam duży kubek prażonej kukurydzy, żeby Pete miał co robić z rękami, w razie gdyby przyszedł mu do głowy jakieś kosmate myśli. Na szczęście okazał się nieromantycznym typem. Ścisnął mnie stanowczo za łokieć i zaprowadził do pary pustych foteli na końcu sali.

Tego dnia grali komedię Woody'ego Allena. Co jakiś czas zerkałam na Pete'a, sprawdzając, czy choć raz na jego ustach pojawi się uśmiech. Po chwili nie czułam się już tak źle. Jeśli nawet Woody Allen nie potrafi rozśmieszyć tego faceta, to ja z pewnością nie mam na to szans, więc nie warto się wysilać.

Po skończonym filmie wyszliśmy do zatłoczonego holu. Kiedy się przez niego przedzieraliśmy, w oddali spostrzegłam znajomą rudą czuprynę, Tom też mnie zauważył. Pomachał ręką na powitanie, a na jego piegowatej twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

Podszedł do mnie. Był sam. Przedstawiłam go Pete'owi, który z wielką powagą potrząsnął dłonią nowego znajomego.

- Dobry film - rzucił Tom. - O mało nie umarłem ze śmiechu. Staremu Woody'emu zawsze się to udaje.

Miałam wrażenie, że jego uśmiech oplata się wokół mojego ciała. Jeszcze nigdy nie

odczułam takiej ulgi na widok kogoś. Nawet jeśli tym kimś był tylko dobry stary Tom.

ROZDZIAŁ 6

Pete poszedł kupić dla nas colę w barze - bardzo chciało mi się pić po tym wielkim kubie popcornu - a ja, nim się spostrzegłam, wypaliłam:

- Jesteś sam?

- W środku czeka na mnie Sue Mellon. Wyszedłem tylko, żeby kupić dla niej „Good and Plenty”. - Tom uniósł pudełko. - Chcesz trochę?

Pokręciłam głową.

- Nie, dziękuję. Skrzywił się.

- Wiem, o co ci chodzi. Ja ich też nie znoszę. - Roześmieliśmy się.

Ktoś mnie szturchnął. Odwróciłam się. Za mną stał Teddy, obejmując ramieniem rozpromienioną Meri. Znali się z Tomem, więc nie trzeba było ich sobie przedstawiać.

- Hej, Alex - zawołał Teddy po kilku minutach gawędzenia. - Co powiesz na to, żebyśmy poszli do Beaniego? Słyszałem, że gra tam dzisiaj ekstra jazzowa kapela. Tom, ty też z nami chodź.

I tym sposobem wszyscy wylądowaliśmy u Beaniego. To jedna z tych fajnych kawiarenek, w których się siedzi na dużych i miękkich kanapach wokół okrągłych stolików, popija kawę i słucha muzyki na żywo. W sobotnie wieczory takie miejsca są zazwyczaj zatłoczone i tak też było dzisiaj. Musieliśmy pomieścić się na jednej kanapie z setką innych osób. Tak się złożyło, że znalazłam się między Pete'em a Tomem.

- Lubisz Warmth? - zapytał Tom, pochylając się, żeby móc go usłyszeć. Poczulałam ładny zapach jego wody kolońskiej.

- A czy w ogóle ktoś nie lubi? Roześmiał się.

- Warmth to nazwa tego zespołu. Słuchasz czasami jazzu?

- Żartujesz? Byłam fanką Duke'a Ellingtona, zanim nauczyłam się chodzić. - To babcia złapała mnie na ten haczyk.

- To jakieś starocie - stwierdziła Sue, odrzucając w tył czarne lśniące włosy. - Ja wolę Nową Falę.

Sue Mellon jest jedną z najpopularniejszych dziewczyn w Whitney, ale przyznam się, że nigdy za bardzo za nią nie przepadałam. Należy do tego rodzaju osób, które wchodząc na przyjęcie pełne obcych ludzi zastanawiają się, czy towarzystwo jest dla nich odpowiednie, a nie czy one tu pasują. Chociaż jest niebiańsko ładna, a jej figura jest już w szkole legendą, to jednak nie podejrzewałam, że Tom się nią zainteresuje. Może chodzi o te usta, piękne jak usta Marcii, dumalam, ale zaraz przypomniałam sobie, że to przecież nie moja sprawa.

Meredith i Teddy zamknęli się w swoim małym świątku, tuląc się do siebie na końcu kanapy. Cieszyłam się ze względu na Meri, ale niestety ta moja radość wcale mi nie pomagała w nawiązaniu bliższego kontaktu z Pete'em. Zdałam sobie sprawę, że od opuszczenia kina nie zamieniliśmy ze sobą więcej niż dwa słowa. Sue nadąsała się, wyraźnie dając do zrozumienia, że się nudzi. Został więc tylko Tom i ja.

Nie wiem, kiedy zaczęłam mu opowiadać o babci i o tym, jak wybrała się na przejażdżkę balonem i wylądowała na środku czyjś ogródka, na przyjęciu z grillem.

Tom zachłystywał się śmiechem.

- Wyobrażam ją sobie. Założę się, że wcale się nie przejęła.

- Żartujesz? Pomaszerowała prosto do mężczyzny smażącego hamburgery i poprosiła o średnio wypieczonego.

Ryczeliśmy już teraz razem. Sue rzuciła Tomowi zdeglustowane spojrzenie, a Pete pokręcił się niespokojnie, tak jakby sam w tej chwili wołał znaleźć się w balonie. A ja nagle uświadomiłam sobie, że to nie ma dla mnie znaczenia. Tak dobrze się bawiłam.

Stopniowo zaczęłam sobie zdawać sprawę, że noga Toma jest przyciśnięta do mojej. Patrzył na mnie z góry orzechowymi oczami iskrzącymi się wesołością. Nagle zapragnęłam wyciągnąć rękę i odsunąć mu z czoła kosmyk rudych włosów, odznaczający się na skórze niczym płomienisty przecinek. W jednej chwili zrobiło mi się tak gorąco, że marzyłam tylko o tym, żeby ktoś otworzył okno.

- Podoba mi się twój grzebień - powiedział. Przesunął po nim palcem, niechcący dotykając także moich włosów, nieświadomie sprawiając, że całe moje ciało ogarnął dziwny dreszcz. - Z Meksyku, prawda? Skinęłam głową i sięgnęłam po filiżankę mokki.

- Kupiła mi go babcia, kiedy ostatnio tam była.

- Wiesz co? Bardzo mi przypominasz swoją babcie. Obydwie jesteście przebojowe.

- Mam nadzieję, że to miał być komplement - odparłam dumnie.

- Oczywiście. - Wykrzywił się. - Najbardziej lubię właśnie przebojowe kobiety.

- Powiedziałaś to tak, jakbyś wyliczał ulubione rodzaje lodów: Skalista Droga albo polewane karmelem.

- Nie, lubię waniliowe polane czekoladą.

Nadeszła pora powrotu do domu, jak dla mnie stanowczo zbyt wcześnie. Sue kilkoma szerokimi ziewnięciami dała znać, że jest znudzona na śmierć, a co do Pete'a, to on chyba nigdy i nigdzie dobrze się nie bawi.

W duchu uznałam, że to z pewnością przez mojego ponurego towarzysza tak wspaniale gadało mi się z Tomem. W porównaniu z Pete'em każdy przypominałby Steve'ego

Martina i Roberta Redforda na raz. Niemniej nie rozumiałam, dlaczego całą drogę powrotną nie umiałam wyrzucić z pamięci widoku Toma całującego Sue na pożegnanie. Jeszcze dziwniejsze było uczucie klucia w żołądku towarzyszące temu wspomnieniu.

Kiedy do tałam do domu, zbliżała się już północ, ale Gordy i Liz nadal pogrążeni byli w bitwie na śmierć i życie. Siedzieli przy kuchennym stole, pochyleni nad szachownicą jak para myśliwych gotowych do strzału. Zauważyłam, że Gordy wyjął swoje najlepsze szachy - alabastrowe, które babcia przywiozła mu z Guadalajara.

- Szach mat! - zawołała Liz, tryumfalnie przewracając króla Gordy'ego. Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się. - Cześć, Alex. Zdążyłaś na rzeź.

Lubię Liz. Chociaż chodzi do drugiej klasy jak Gordy, to wygląda na starszą i dojrzalszą od większości seniorów. Ma ciemne oczy i proste włosy z przedziałkiem na środku, zaczesane za uszy. Ani śladu makijażu. Pomimo faktu, że robi wszystko, żeby się zbrzydzić, wcale nie jest nieatrakcyjna. Zresztą doskonale pasuje do Gordy'ego, którego zdaniem malujące się dziewczyny są frywolne.

- Na twoim miejscu jeszcze nie liczyłbym kur w kurniku - mruknął, ocierając nerwowo czoło.

Liz klepnęła go macierzyńsko po ramieniu.

- Nie możesz znieść myśli, że przegrasz z kobietą. Mężczyźni mają tak delikatne ego, prawda, Alex?

- Zgadzam się - przyznałam z całą powagą. - A bracia są najgorsi, uwierz mi.

- Ja mam nie wierzyć? - sarknęła. - Mam czterech braci.

- Mnie wystarczy jeden, dziękuję. - Roześmiałam się i przyjacielsko klepnęłam Gordy'ego po głowie.

- Założę się, że Bobby Fisher nie musi czegoś podobnego znosić - warknął, posyłając mi gniewne spojrzenie.

- No dobra, ważniaku - droczyła się Liz. - Nie gadaj już, tylko graj.

Zostawiłam ich i na palcach, żeby nie obudzić reszty domowników, ruszyłam na górę do swojej sypialni. Ale babcia ma lekki sen, usłyszała moje przyjście i czekała na mnie na szczycie schodów.

- Tak jak przypuszczałam - rzuciła z przekonaniem w głosie. - Kiedy tylko zobaczyłam tego chłopca, wiedziałam, że wrócisz do domu z taką miną.

Nie miałam po co przed nią udawać, że dobrze się bawiłam w towarzystwie Pete'a; babcia znała mnie na wskroś.

- Był miły, ale...

- Nie w twoim typie - zakończyła za mnie. - Nie popełniasz żadnej zbrodni, mówiąc to na głos. Świat byłby o wiele mniej skomplikowany, gdyby ludzie nie starali się wpychać kwadratowych pieniędzy do okrągłych otworów.

Westchnęłam.

- Babciu, tak bym chciała wiedzieć, kto w takim razie jest w moim typie.

- Dowiesz się, kiedy przyjdzie na to czas - orzekła. Postukała się w pierś. - Będziesz to czuła tutaj.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Oczywiście, że nie. - Babcia zawsze jest taka pewna wszystkiego, co mówi. Przytuliła mnie do siebie. Pachniała pastą do zębów i ziołową herbatą. - A teraz do łóżka. Jesteś młoda, więc nie potrzebujesz jeszcze snu dla podtrzymania urody, ale mnie się przyda.

Babcia śpi w sypialni obok mojej i kiedy już wsuwałam się pod kołdrę, usłyszałam jej szept zza ściany.

- Podobał mi się ten chłopak, którego przyprowadziłaś wczoraj na obiad.

Najwyraźniej uważała, że Tom jest bardziej w moim typie. A czy jest? Zastanawiałam się nad tym, zapadając w sen. Zobaczyłam przed oczami jego roześmiana, twarz i poczułam dziwne klucie w sercu. Czy to możliwe, żeby, znając kogoś tak długo, jak ja znam Toma, nagle zmienić do niego stosunek?

Jeszcze tydzień temu uważałabym, że nie. Ale od czasu, gdy Projekt Kupidyn przewrócił moje życie do góry nogami, wszystko wydawało mi się prawdopodobne.

ROZDZIAŁ 7

Naprawdę dobrze wyglądam? Naprawdę? - Meredith z niepokojem oglądała swoje odbicie w dużym lustrze wiszącym na drzwiach mojej sypialni. - Boże, mam nadzieję, że Teddy'emu spodoba się ta sukienka.

- Poślij mu swój nowy, niebiański uśmiech, a zapomni o całym świecie - poradziłam.

Odrzuciła się i uśmiechnęła do mnie ustami pozbawionymi metalowego szkaradztwa. Zresztą już od tygodnia uśmiechała się prawie nieustannie - choć szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czemu to przypisać, Teddy'emu czy ortodontce. Nie muszę mówić, że Meredith się zakochała. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Zazdrościłam jej tej niezachwianej pewności.

Co do mnie, to z ledwością mogłam się skoncentrować na malowaniu czarnych kresiek na powiekach tak, żeby wyszły prosto. Tom i Teddy mieli się zjawić po nas już za dziesięć minut. Stąd całą czwórką jechaliśmy na bal. Meri miała u mnie nocować, żeby nie robić komplikacji przy powrocie. Cieszyłam się, że jest przy mnie, głównie dlatego, że tylko w porównaniu z nią wyglądałam na osobę względnie spokojną.

Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego moja przyjaciółka aż tak bardzo się denerwuje. Wyglądała naprawdę prześlicznie w sukience, którą znalazłyśmy u Foxmoora po szkole we wtorek. Była to stylowa wiktoriańska suknia z krepy w odcieniu przybrudzonego różu, z wysokim kołnierzem i długimi, wąskimi rękawami obszytymi koronką. Do tego Meri zakręciła włosy, które ja upięłam jej na czubku głowy, pozostawiając kilka pasemek opadających na uszy. Obrazu całości dopełniała stara opałowa broszka. Meri wyglądała jak bohaterka powieści romantycznej.

Odsunęłam się, żeby się jej przyjrzeć.

- Wcale nieźle. Myślę, że powinnyśmy przygotować butlę z tlenem, na wypadek gdyby Teddy na twój widok stracił oddech.

Meri zachichotała.

- Sama też nieźle się prezentujesz. Ale co ci będę mówiła, poczekaj, aż Tom cię zobaczy.

Jej słowa podziałały na mnie jak rażenie prądem. Czy rzeczywiście Tom zwróci uwagę na mój wygląd? Trudno było coś przewidzieć w jego przypadku. Dokończyłam malować usta truskawkowym błyszczakiem i odsunęłam się od lustra, żeby zbadać rezultat.

Hinduska suknia wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobraziłam, a nawet lepiej, bo w pasie przewiązałam się wyszywaną szarfą, którą kupiłam w „Cost Plus”. Zaczesałam włosy

do tyłu i spięłam grzebieniami z żółwia, tak żeby opadały mi za uszami, z których zwieszały się moje srebrne turkusowe kolczyki. Oprócz tego z biżuterii nosiłam jeszcze tylko szeroką srebrną bransoletkę. Wyglądałam skromnie i dokładnie tak, jak chciałam. W drzwiach pojawiła się głowa mamy.

- Panienki, przyjechali wasi książęta. Mam im powiedzieć, że zaraz schodzicie? Babcia chce wiedzieć, czy zdąży z nimi pogawędzić.

- Powiedz jej, żeby poczekała na księżniczkę - roześmiałam się, mając na myśli Liz, która zabierała na bal Gordy'ego. Niedawno skończyła szesnaście lat i natychmiast zrobiła prawo jazdy. Oczywiście Gordy twierdził, że Liz się popisuje, ale wiedziałam, że w głębi serca jest przeszczęśliwy, że idzie z nią na bal.

Mama przewróciła oczami, udając przerażenie.

- Twój biedny brat. Jest wprawdzie mistrzem szachowym, ale rozpada się na kawałki z powodu tego balu. To będzie cud, jeśli uda mu się nie zaplątać we własną sznurówkę.

- Nie martw się - rzuciłam. - Liz go naprostuje. Ona to potrafi.

Spląnęliśmy po schodach zupełnie jak na filmach - a la *Przeminęło z wiatrem* - a nasze zejście zakłócił tylko Butternut, który nagle przemknął przed Meri, przez co ta o mały włos nie padła jak długa. Na szczęście Tom i Teddy, zbyt zajęci rozmową z babcią, niczego nie zauważyli.

Wreszcie Teddy spojrzął na Meredith i zagwizdał przeciągle.

- Hej, piękna! Nie jestem pewien, czy powinienem zabierać cię do ludzi. Obawiam się, że kiedy inni chłopcy cię zobaczą, może dojść do rebelii.

Meri poczerwieniała. Tom nie powiedział słowa, ale wydało mi się, że dostrzegłam w jego oczach uznanie. Był ubrany w czarne spodnie, srebrną marynarkę i koszulę w tym samym kolorze. Prezentował się bardziej elegancko i przystojnie niż kiedykolwiek do tej pory, przez co nagle poczułam się jakoś dziwnie, jakbyśmy się w ogóle nie znali. I w pewnym sensie nie znaliśmy się. Przyjacielskie sprzeczki raczej rzadko kiedy doprowadzają do randek.

W samochodzie prawie nie rozmawialiśmy. Tom trzymał rękę na oparciu fotela, a szorstki materiał jego marynarki delikatnie muskał moją szyję.

- Gdybym cię nie znał - zaczął w końcu, z oczami, w których iskrzyła się jego zwykła chęć przekomarzania - to bym powiedział, że odebrało ci mowę. Chyba nie wycofasz się z tej naszej komputerowej randki, co?

- Przepraszam, zamyśliłam się - skłamałam. - Zastanawiałam się, czy Larry dobrze rozwiesił lampki. Miał z nimi jakiś kłopot, kiedy go zostawiałam dzisiaj po południu.

- Napracowałam się przy tym balu. A ten twój projekt to w ogóle już hit sezonu.

Podejrzewam, że dzięki tobie wiele osób jest teraz bardzo szczęśliwych.

Wzruszyłam ramionami.

- Cała zasługa należy do komputera.

- Nie umiesz przyjmować komplementów, co? - Podsunął mi palec pod podbródek, a ja w tej samej chwili poczułam dreszcze na karku. - OK, nie będę w takim razie ci mówił, jak sensacyjne wyglądasz.

Widzicie, o co mi chodzi z Tomem. Nawet kiedy prawi komplementy, robi to tak, jakby sobie żartował. Cieszyłam się, że w samochodzie jest ciemno i nie może zobaczyć, że się zaczerwieniłam. Nawet jeśli żartuje, to po raz pierwszy usłyszałam od niego cokolwiek dotyczącego mojego wyglądu. I miał rację - nie wiedziałam, jak przyjąć jego pochwałę.

Przeczuwałam, że ta randka przyjmie zupełnie inny obrót, niż się spodziewałam.

Chociaż zjawiliśmy się w szkole przed ósmą, to sala balowa była już prawie pełna. Przy drzwiach stała Barbara Winchester, z którą chodzę na lekcje historii; odbierała bilety i wręczała kupony na Najlepszą Komputerową Parę.

- Fajna sukienka, Alex - powiedziała, dotykając mojego rękawa pomalowanym na brzoskwińowo paznokciem - I dekoracja też jest ekstra. Wszystkim bardzo się podoba.

- Dzięki - wymamrotałam. Rzeczywiście, sala prezentowała się dobrze - nawet lepiej wieczorem, ze światłami stroboskopowymi. Na ścianach, obok srebrnych serc Anny, lśniły srebrne gwiazdy, a z sufitu zwieszały się setki srebrnych i złotych balonów oraz całe mnóstwo taśmy Uczonej. Ale punkt centralny stanowił komputer zrobiony przez Larry'ego. Cały się świecił i huczał odgłosami wydobywającymi się z ukrytego w środku magnetofonu.

- Robi wrażenie - rzucił Tom. - Dobrze, że nie ma tu Hueya, bo byłby zazdrosny.

Roześmiałam się. Orkiestra zaczęła grać jakiś dyskotekowy kawałek i Tom poprowadził mnie na środek sali. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale byłam zaskoczona, kiedy się okazało, że jest bardzo dobrym tancerzem. Powiedziałam - dobrym? Był wspaniały! Wyobraźcie sobie Johna Travoltę z rudymi włosami i piegami, podskakującego, wirującego, szusującego po parkiecie. Brakowało mi tchu i z trudem dotrzymywałam mu kroku.

- Ach! - sapnęłam, kiedy następny kawałek okazał się spokojny.

Tom ujął mnie w pasie.

- Nie spodziewałaś się fokstrota, prawda?

- Nie spodziewałam się też Freda Astaire'a.

- Moi rodzice mają świra na punkcie tańca, więc chyba mogę powiedzieć, że mam to we krwi. Moja starsza siostra nawet studiuje taniec nowoczesny.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że czuję jego rękę na plecach, a na policzku szorstki

materiał jego marynarki. Poczułam ostry zapach wody po goleniu, a moja ręka sama dotknęła miękkiego kosmyka rudych włosów, który opadał mu na kołnierz. Poczułam, że robi mi się ciepło na całym ciele.

Co się ze mną dzieje, zastanawiałam się w lekkiej panice. Miałam wrażenie, że moje nogi zamieniły się w galarete. Czułam się, jakbym była we śnie, dziwnym, jednak cudownym. Jak to możliwe, że tak się czuję przy Tomie, skoro lubię go tylko jak przyjaciela? To szaleństwo! Pewnie zaraz się obudzę i okaże się, że nic podobnego nigdy się nie wydarzyło...

- Na kogo głosowałaś? - Tom wyrwał mnie z marzeń.

- Co mówiłeś?

Nie czekając na odpowiedź, rzucił:

- Nie sądziłem, że będzie tyle dobrych par do wyboru. - Zaśmiał się. - Popatrz na Annę i Glenna; to dopiero aktorzy z kociego teatru!

Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem i w rogu sali dostrzegłam dwójkę kołyszącą się w swoich objęciach. Ann miała na sobie szokującą srebrną suknię w cekiny, ale największe wrażenie robiła opaska na głowie, z której na gumkach zwieszały się bliźniacze srebrne serduszka. Efekt był niesamowity.

- Rzeczywiście aktorzy - roześmiałam się. - Ann umieszcza serca, gdzie się tylko da. Cieszę się, że znalazła kogoś, komu podoba się jej styl.

Pomiędzy innymi robiącymi wrażenie parami wyróżniała się także Lissa Watts i Bruce McCaleb. Żwawa Lissa, brunetka, jest główną cheerleaderką w szkole, a wysoki jak wieża Bruce gwiazdą koszykówki. Co się rzucało w oczy, to właśnie różnica w ich wzroście. Lissa ledwo dosięgała mu do ramienia, ale to wydawało się im wcale nie przeszkadzać. Kiedy przemknęli obok nas w płaschach, Lissa, którą ledwie znałam, zawołała:

- Cześć, Alex. A może powinnam do ciebie mówić „dobra wróżko”?

- Nie, jeśli nie chcesz zamienić się o północy w dynię - odpowiedziałam, posyłając jej uśmiech znad ramienia Toma.

Danny Crawford i Karen Green pretendowali jako następnii do tronu. Karen pomachała do mnie, pokazując białe zęby pobłyskujące na tle opalonej twarzy. Jeszcze miesiąc temu Karen chodziła z najlepszym przyjacielem Danny'ego, Kenem. Teraz Ken spotyka się z najlepszą przyjaciółką Karen.

Och, czasami życie w Whitney wydaje się bardziej skomplikowane niż w serialu *Ja chyba zwariuję*.

- Popatrz, tam stoi Sue Mellon - mruknęłam, z nadzieją, że mój głos brzmi normalnie.

- Nie wiedziałam, że spotyka się ze Skipem Websterem.

Tom wzruszył ramionami.

- Ta dziewczyna nie potrzebuje twojego komputera. Umawia się na tyle randek, że sama już się w tym pogubiła.

- Och? - zaczęłam, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. - Sądziłam, że ty i ona...

- Chodzimy ze sobą? Sue i ja? - Zaśmiał się krótko. - Nie ma mowy. Nie jest w moim typie.

A jaki jest twój typ? Miałam zamiar go o to zapytać, ale właśnie skończył się utwór i Everett Aimsley, nasz przewodniczący rady uczniowskiej, zaczął dmuchać w mikrofon, żeby zwrócić uwagę obecnych.

- Jesteście gotowi? - zawołał. - Ogłoszę zaraz zwycięzców naszego konkursu na Najlepszą Parę z Komputera, a więc trzymajcie się! - Jego entuzjazm udzielił się całej sali. Przy scenie dostrzegłam Gordy'ego i Liz; Gordy trzymał rękę na jej ramieniu. Obok nich stała Meredith z Teddym, także objęci. Pomachałam do nich, ale oni równie dobrze mogliby znajdować się na statku kosmicznym lecącym na księżyc, którego odbicie w formie plakatu wisiało nad ich głowami na ścianie. Nie zwracali uwagi na nikogo.

- Ale najpierw kilka słów od naszego sponsora. - Ev uśmiechnął się i przyłożył mikrofon do komputera. - Żadnych uwag? O, wiecie co? Ten facet jest nieśmiały.

Rozległ się wybuch śmiechu, a potem ktoś zawołał:

- Przestań się wydurniać, Ev, i powiedz nam, kto wygrał. Ev odchrząknął.

- Zwycięzcami są - spojrzał na kartkę, którą trzymał w ręku - Alex Randall i Tom Jurgensen!

- Hurra! - zawołał ktoś, przekrzykując burzę oklasków. Byłam tak zdumiona, że nie mogłam zrobić nic więcej ponad to, że szeroko otworzyłam usta. Potem Tom pchnął mnie w stronę sceny. Wszyscy klaskali. Nadal nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę, ale jakoś udało mi się wydukać kilka słów podziękowań do mikrofonu, nie robiąc z siebie przy okazji - mam nadzieję - kompletnej idiotki.

Potem orkiestra znowu zaczęła grać i wróciliśmy na salę, a wszyscy, których znałam, składali mi po drodze gratulacje.

- Zaskoczona? - zapytał Tom, obejmując mnie mocniej w pasie, jakby się bał, że odlece jak balon napełniony helem.

Usta wykrzywił mu półuśmieszek, a w oczach migotały zalotne ogniki.

- Oszołomiona, to dobre słowo - odpowiedziałam.

- A ja - oświadczył - wcale nie jestem taki zaskoczony. Uważam, że do siebie nawet pasujemy.

Nadal nie umiałam określić, czy żartuje, czy mówi poważnie, ale kiedy zaczęliśmy poruszać się w takt muzyki, zdałam sobie sprawę, że za dobrze się bawię, żeby się czymkolwiek przejmować.

ROZDZIAŁ 8

W poniedziałek w szkole wszyscy mówili tylko o balu - zwłaszcza o sukcesie mojego komputerowego projektu. Wiele osób, których nie znałam, podchodziło do mnie i prosiło, żebym znowu uruchomiła program i znalazła im partnerów.

Oczywiście Tom musiał dorzucić swoje dwa grosze.

- Uważaj, dzieciaku - ostrzegł. - Odgrywanie Kupidyna przypomina zabawę z ogniem: możesz się sparzyć, jeżeli nie będziesz ostrożna.

- Jesteś zawiedziony, bo komputer nie wybrał dla ciebie dziewczyny takiej, jaką sobie wymarzyłeś - odpaliłam, trochę rozżalona jego nagłą zmianą podejścia. Czy nie czuł na balu tego czaru między nami?

A może to ja sobie coś ubzdurałam? Tamtej nocy myślałam, że między nami wszystko się zmieniło. Po balu poszliśmy całą grupą na pizzę i colę. Meri i Teddy tulili się do siebie, gruchając jak gołąbki, a ja z Tomem bawiliśmy się w najlepsze, rzucając w siebie girlandami z taśmy maszynowej. W samochodzie całą drogę powrotną trzymaliśmy się za ręce. Kiedy dojechaliśmy, Tom odprowadził mnie pod drzwi.

- Dobrze się dzisiaj bawiłem - stwierdził cicho, jakby nie chciał zmącić panującego dokoła spokoju.

- Ja też, Tom. - Nagle poczułam się w jego obecności bardzo skrępowana. Serce biło mi tak mocno, że obawiałam się, że on to usłyszy.

Podniósł mój podbródek palcem, znowu sprawiając, że dostałam gęziej skórki. Jego oczy lśniły w półcieniu, a pasmo włosów, które miałam ochotę odrzucić na miejsce, opadało mu na czoło.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że chociaż często dokuczam ci w szkole, to ja... no... ja tak naprawdę... - Odchrząknął, a jego głos nagle zrobił się niski i ochrypliwy. - Chodzi mi o to, że naprawdę fajny z ciebie dzieciak.

Znowu nie wiedziałam, czy mam go uderzyć, czy mu podziękować. Tak więc stałam tam, taka niemota, i wpatrywałam się w ćmę, która jak oszalała obijała się o lampę na ganku.

I wtedy to się zdarzyło. Tom pochylił się i bardzo delikatnie musnął moje usta. Nie jestem pewna, czy można to było nazwać pocałunkiem - skończył się, zanim naprawdę się zaczął. Natychmiast zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, jego już nie było. Usłyszałam, że Teddy odprowadza Meri do drzwi.

Od tamtego momentu zaczęłam myśleć, że wszystko sobie ubzdurałam, tym bardziej że od balu Tom albo mi dokuczał, albo po prostu mnie unikał. Kiedy na niego spoglądałam,

uciekał wzrokiem nerwowo, a jego policzki robiły się bardziej różowe. Zachowywał się tak, jakby bal... i pocałunek... nigdy się nie wydarzyły.

- Nawet komputery potrafią nawalić - prychnął. - Może poszczęści mi się następnym razem.

Jego słowa bolały, choć wiedziałam, że sobie kpi. Pragnęłam powiedzieć mu, że z niektórych spraw po prostu się nie żartuje, ale zamiast tego tylko zatrzasnęłam pokrywę kserokopiarki, na której odbijałam jakieś dokumenty. Czułam się zdradzona, bo tak wspaniale bawiłam się w jego towarzystwie, a moje uczucia do niego zmieniły się diametralnie. Chciałam mu to powiedzieć, ale tego nie zrobiłam, a zresztą teraz było na to już za późno.

- Jestem pewna - odparłam chłodno. - A w zasadzie, po co czekać? Mogę wprowadzić twoje dane do komputera jeszcze dzisiaj, jeśli chcesz, kiedy tylko znajdę kogoś dla siebie.

Twarz mu chyba pociemniała, ale nie przestał się uśmiechać.

- Jak widzę, nadal szukasz swojego wymarzonego chłopaka.

Rzuciłam mu lodowate spojrzenie.

- Może.

- No cóż, życzę szczęścia. Mówią, że miłość za drugim razem przychodzi łatwiej. - Odwrócił się do mnie tyłem i zaczął pogwizdywać pod nosem jakąś melodię.

Teraz już na sto procent wiedziałam, że mam ochotę go uderzyć. Jak on może sobie żartować na takie tematy? Tak jakby tamten wieczór spędzony razem nic dla niego nie znaczył. Nagle zrozumiałam, że bal, naszą komputerową randkę, potraktował jak dobry ubaw - od początku do końca. Bliska też pchnęłam w jego stronę stertę odbitek, ale nie zdążył jej pochwycić i kartki rozsypały się po całej podłodze.

- Widzisz, co przez ciebie zrobiłam? - Uklękałam szybko, żeby nie zobaczył, że płaczę.

- Uspokój się, Al. To był przypadek. Nic wielkiego. - Dołączył do zbierania, potem podał mi rękę, pomagając wstać.

Nienawidziłam tego, że jest taki miły, kiedy jeszcze sekundę wcześniej zachował się tak podle. Chciałam go nienawidzić. Ale Mopot z Tomem polega na tym, że jest zbyt fajny, żeby coś podobnego dłużej do niego czuć.

- Hej - powiedział wesoło, próbując mnie rozweselić. - Słyszałaś ten kawał o papieżu i Elvisie Presleyu?

Tym razem nie byłam w nastroju do wysłuchiwania jego dowcipów.

- Opowiesz go swojej wymarzonej dziewczynie - warknęłam, okręcając się na pięcie i wybiegając z pokoju. Gdybym miała na sobie suknię, wyszłoby to bardziej dramatycznie, bo pewnie zatrzepotałaby głośno wokół moich nóg; niestety, w dżinsach i podkoszulku mój

pokaz poszedł na marne. Tom przecież nie wiedział, że jestem na niego zła i z jakiego powodu.

I przez to byłam jeszcze bardziej zła.

Szłam do pokoju pana Skorskiego, nie mogąc się doczekać, kogo tym razem wybierze dla mnie komputer. Każdy będzie lepszy od Toma.

Jason Appleby! - Meri, kiedy obwieściłam jej nowinę w czasie lunchu, szeroko otworzyła usta. - Chyba się zgrywasz. Człowiek - ptak?

- Nie rozumiem, co cię tak dziwi. - Trochę mnie zirytowała jej reakcja. W końcu jej się udało znaleźć chłopaka ze snów, dlaczego ja nie miałabym jeszcze raz popробować szczęścia? - Jason jest miły. Co z tego, że w czasie wolnym skacze ze spadochronem? Uważam, że to hobby jest fascynujące.

Prawdę mówiąc, nie znałam go dobrze. Na początku liceum mieliśmy razem lekcje algebry, ale to było wieki temu i od tamtej pory nie spotykaliśmy się często. Zapamiętałam go jako postawnego, ciemnowłosego chłopaka o oliwkowej cerze i miłym uśmiechu. Oczywiście cała szkoła słyszała o jego powietrznych wyczynach. Interesuje go wszystko, co jest związane z powietrzem. Stąd to przydomkowanie: Człowiek - ptak. Domyślałam się, że Jason natychmiast znalazłby wspólny język z moją babcią, nawet gdyby nam się to nie udawało.

- Czy Tom już wie? - Meredith popatrzyła na mnie jednym z tych swoich przenikliwych spojrzeń.

Z furią wgryzłam się w łożkę selera.

- Dla twojej wiedzy, to był pomysł Toma.

- Nie wierzę! Powiedział ci, żebyś znalazła sobie kogoś innego?

- No, nie... niezupełnie. Poza tym, co to dla niego za różnica, z kim się umawiam? Przecież nie jest moim chłopakiem ani nikim w tym stylu. To nawet nie on wpadł na pomysł zabrania mnie na bal.

- Nie zauważyłam, żeby się jakoś głośno na to uskarżał. - Oczy mojej przyjaciółki pobłyskiwały przekornie. - W ogóle nie słyszałam, żeby się skarżył.

- Oczywiście, trudno, żebyś coś słyszała, skoro dostrzegałaś jedynie Teddy'ego - przypominałam, czując jednak odrobinę zadowolenia, bo słowa Meri zaprzeczały moim podejrzeniom, że podczas balu miałam urojenia.

Popatrzyła na mnie jakoś tak wesoło.

- Coś mi się wydaje, że Tom lubi cię bardziej, niż to po sobie pokazuje.

- Ha!

- Nie wysilaj się, nie zwiedzisz mnie, udając, że nic cię to nie obchodzi.

Z niedowierzaniem wpatrywałam się w tego potwora, który do tej pory nosił maskę mojej najlepszej przyjaciółki. Potem zaczęłam się śmiać. To było naprawdę śmieszne, kiedy już się dostrzegło komizm sytuacji.

- Spójrz prawdzie w oczy, Al - poradziła Meri. - Chociaż raz wiem, o czym mówię. - Zawahała się. - Jak sądzę.

Dobra stara Meri!

- Zapomnijmy o tym, szkoda czasu. Podejrzewam, że Tom i ja jesteśmy po prostu za bardzo do siebie podobni.

- Pomijając jedną oczywistą różnicę - odparła, z lubością zatapiając zęby w ciastku sezamowym, czego jeszcze tydzień temu nie wolno jej było robić z powodu aparatu na zębach.

- To, że on jest chłopakiem, a ja dziewczyną, nie znaczy jeszcze, że musimy się w sobie zakochać.

- Nie powiedziałam, że masz się w nim zakochać. Po prostu nie spiesz się tak z odrzucaniem takiej możliwości - poradziła. - Sama mówiłaś, że na balu doskonale się bawiłaś.

- Taaak. - Zwiesiłam głowę w poczuciu beznadziejności. W drugim końcu stołówki dostrzegłam Toma w towarzystwie kolegów. Jednym ramieniem obejmował Ricka Cole'a, drugie ramię spoczywało wygodnie, zbyt wygodnie, na szyi Candy DuPree. - Tylko nie wiem, jak on się bawił.

- Dlaczego go o to nie zapytasz?

- Teraz? Chcesz, żebym teraz do niego podeszła i zapytała go o to? Meri, czasami tak mnie zaskakujesz, że...

- Nie teraz, wariatko. Kiedy będziecie sami. Daj mu poznać, jak się czujesz. Może za bardzo się wstydzi, żeby zrobić pierwszy krok.

- **Tom**, wstydzi się? Niemożliwe. Poza tym, sama nie jestem pewna, co do niego czuję. Czasami, tak jak wtedy na balu, jest naprawdę słodki, ale kiedy indziej... **oh**, z ochotą bym go udusiła.

- To brzmi jak miłość - uznała Meri z westchnieniem. Spojrzałam na nią.

- Czytasz zbyt wiele romansów.

- Może ty też powinnaś jakiś przeczytać.

- O rany - zawołałam, dostrzegając zbliżającą się w naszym kierunku wielką postać. - Trudy Linville wyszła na łowy. Mamy czas się schować?

Trudy jest reporterką dla *Whitney World*, a jej znakiem szczególnym jest to, że wszystko w niej jest wielkie. Poczynając od ust, które, przysięgam, rozciągają się od ucha do

ucha, kończąc na stopach o rozmiarze, jak mi ktoś powiedział, numer jedenaście. Ale największe w niej jest jej ego. Ta dziewczyna nikogo i niczego się nie boi ani nie krępuje. Unikałam jej przez całe rano - od chwili, gdy się dowiedziałam, że zamierza napisać artykuł o mnie i o Tomie jako o Najlepszej Parze z Komputera.

- Ho, ho - zawołała gromkim głosem, zbliżając się do nas z notatnikiem w jednej ręce i wielką torbą ze śniadaniem w drugiej. - Alex, wszędzie cię szukam! Gdzie, do diabła, się ukrywałaś? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Posłuchaj, mam doskonały pomysł. Zamierzam napisać serię artykułów o komputerowych parach, taki prawdziwy ludzki temat. Nie uważasz, że to wspaniały pomysł?

- Brzmi interesująco, Trudy - rzuciłam. I wcale jej nie okłamałam, bo rzeczywiście pomysł wydawał mi się dobry, ale Trudy mówiła o nim takim tonem, jakby była jakąś znaną gwiazdą dziennikarstwa.

- Cieszę się, że się zgadzasz - wyciągnęła pióro - ponieważ zamierzam zacząć od ciebie i Toma. Jesteście zwycięzcami, a na dodatek Projekt Kupidyn był twoim pomysłem.

- Zapomnij o tym - powiedziałam otwarcie. - To się nie uda.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się.

- Ponieważ, tak się składa, że Tom i ja nie...

- Chodzi jej o to, że Tom należy do tych wstydliwych - niespodziewanie wtrąciła się Meri, ignorując mój rozgniewany wzrok. - Alex musi najpierw z nim porozmawiać.

Zanim zdążyłam odgryźć głowę mojej byłej przyjaciółce, Trudy wysapała:

- Wspaniale! Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. W takim razie najpierw zajmę się innymi. Z tobą i z Tomem pogadam później.

- Zaczekaj... - zaprotestowałam, ale Trudy odchodziła już, bez wątplenia szukając następnej ofiary.

- Jak mogłaś? - wrzasnęłam na Meri, która uchyliła głowę przed moją torbą śniadaniową z resztkami bułki z serem. - Tom nawet nie będzie chciał wiedzieć, że ja istnieję, kiedy zabierze na randkę Bridget O' Connor!

- A co ma z tym wspólnego Bridget?

- Nie powiedziałam ci? To z nią połączył go komputer, kiedy ja dostałam Jasona. - Zgrabna, rudowłosa Bridget doskonale pasuje do Toma, dumałam ponuro.

Meri zagryzła wargę i powiedziała miękko:

- Och, to mamy kłopot. Teddy powiedział mi, że... że z nią chodził. - Zmarszczyła brwi, wyraźnie nie chcąc przypominać sobie okresu P.T - to znaczy Przed Teddym. Chciałam wyciągnąć z niej więcej informacji na temat Bridget, ale duma mi na to nie pozwoliła, więc

wstałam, udając, że znudziłam się rozmową.

- Cóż, to nie mój interes - oświadczyłam. - Jeśli chodzi o mnie, Tom może się spotykać choćby z królową Anglii.

Meredith posłała mi jeden z tych ogromnie irytujących tajemniczych uśmiezków. Odkąd zaczęła się spotykać z Teddym, zmieniła się, tylko nie byłam pewna, czy na lepsze.

- Jak sobie życzysz - odparła.

ROZDZIAŁ 9

Pierwszy z artykułów Trudy na temat komputerowych par ukazał się w piątkowym wydaniu *Whitney World*. Dotyczył Cindy Ayers i Gorge'a Oliveira.

Kto powiedział, że miłość nie może zakwitnąć w lutym? Na pewno nie George O. i Cindy A., komputerowa para tygodnia, która twierdzi, że ich wspólnym zainteresowaniem są kwiaty. Ojciec George'a jest właścicielem szklarni, w której hoduje róże i jak się okazuje, Cindy je uwielbia. „Najbardziej lubię czerwone”, poinformowała reporterkę z błyskiem w oku. Szczęściarz z tego George 'a! Jego specjalnością jest odmiana „Amerykańska Piękność”, a przecież lak samo można by nazwać naszą Cindy...

Przeczytałam artykuł i stęknęłam. Nie był to materiał na nagrodę Pulitzera. Staralam się nie wyobrazić sobie, co Trudy napisze o mnie i o Tomie. Na samą myśl o tym dostawałam dreszczy.

Takie samo wrażenie artykuł wywarł na Gordym i Liz, którym przeczytałam go na głos. Wysłuchali go w milczeniu, przerywając szachowy pojedynek.

Widziałam, jak oczy Liz robią się ciemne od pogardy.

- Czy tylko o tym teraz wszyscy myślą? O zakochiwaniu się?

- A co w tym złego - wtrąciła się babcia, która siedziała przy oknie z Buttemutem na kolanach, czytając *National Geographic*.

- Uchy... - Gordy chrząknął, tym samym dając do zrozumienia, że podziela opinię Liz.

Uśmiechnęłam się.

- Podejrzewam, że wy dwoje jesteście ponad to. Liz poczerwieniła.

- Ja... ja tylko chciałam powiedzieć, że są też inne sprawy. Ważniejsze...

- Na przykład szachy - pomógł jej Gordy.

- Hm! - sarknęła babcia.

- Człowiek nie może żyć samymi szachami - powiedziałam z przekąsem.

Gordy, chyba urażony, postanowił bronić swojego stanowiska.

- Na twoim miejscu wcale bym się nie odzywał. Łazisz jak zakochany szczeniak i nawet nie chcesz się do tego przyznać.

- Ja, zakochana? To nieprawda. Tak się składa, że jutro mam randkę z Jasonem Appleby. Jeśli chodzi o Toma Jurgensena...

Mój brat wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu.

- To ty wspomniałaś o Tomie, nie ja. Ja tylko powiedziałem, że się zakochałaś.

- No właśnie! - zawołała Liz i roześmiała się. - Musisz przyznać, Alex, że tym razem

cię przechytrzył.

- Za to - postraszyłam - namówię Trudy, żeby na następną parę tygodnia wybrała was!

- . Nie zrobisz tego! - Widząc przerażenie na twarzy Gordy'ego, domyśliłam się, że dobrze trafiłam.

Czy to nie jest fantastyczne? - Jason przekrzykiwał wycie silnika samolotu. - Widać stąd całą zatokę!

Musiałam przyznać, że widok zapierał dech. Ocean pod nami lśnił jak dywan utkany z szafirów, na niebie nie było chmurki, a słońce odbijało swoje promienie od skrzydeł dwusilnikowej cessny, kierującej się do półwyspu Monterey. Jason jest doskonałym pilotem i choć byłam świadoma lekkiego ucisku w żołądku, to jednak nie bałam się.

- Czuję się jak Piotruś Pan - powiedziałam, czym rozbawiłam Jasona.

- Śmieszne - rzucił - mógłbym przysiąc, że jesteś dziewczyną.

Właśnie między innymi to u niego lubiłam. Miał poczucie humoru, nie tak jak pewien chłopak, z którym się niedawno umówiłam i o którym chciałam jak najszybciej zapomnieć.

Jason zdjął na chwilę rękę z drążka i położył ją na mojej dłoni.

- Cieszę się, Alex, że ze mną poleciałeś. Niektórzy ludzie strasznie się boją latać. Zwłaszcza w takich małych samolotach jak ten.

- Ale nie ja. Przygodę mam we krwi.

- Pewnie dlatego komputer nas ze sobą połączył. - Posłał mi ciepły uśmiech, przyglądając mi się brązowymi oczami. - Domyślałam się, że między Tomem a tobą po prostu nie wypaliło, co?

Wyjrzałam przez okno. Nie chciałam rozmawiać o Tomie.

- Tom i ja jesteśmy przyjaciółmi - odparłam tonem, który wyraźnie mówił, że pragnę omijać ten temat.

- Och. - Nie powiedział nic więcej.

Dwadzieścia minut później wylądowaliśmy miękko po drugiej stronie zatoki, gdzie spotkaliśmy się z siostrą Jasona, Carłą, i jej mężem. Popołudnie spędziliśmy na wędrowce wokół jeziora otoczonego cedrowym lasem, a kiedy już zmęczyliśmy się chodzeniem, wzięliśmy się do koszyka z lunchem, który przygotowała nam Carla. Do samolotu wróciliśmy około piątej. Czułam, że jestem zmęczona i że chyba za bardzo się opaliłam. To był fajny dzień, ale chciałam już wracać do domu.

Kiedy lecieliśmy nad zatoką, Jason przełączył się na automatycznego pilota i objął mnie opalonymi ramionami. Pocałował mnie delikatnie i z czułością.

- Założę się, że jeszcze nigdy nie całowałaś się trzy tysiące stóp nad ziemią -

powiedział, gładząc mój policzek.

- To prawda - przyznałam.

Znowu mnie pocałował, tym razem trwało to dłużej. Miał miękkie i delikatne usta. Myślałam o tym, co powiedział - o tym, że jestem całowana trzy tysiące stóp nad ziemią. To brzmiało jakoś zmysłowo, jak z romansów Meredith.

Kłopot w tym, że wcale nie czułam się romantycznie. Pocałunek sprawił mi przyjemność i to wszystko. Krew wcale nie uderzyła mi do głowy. Żołądek wcale nie wykonał rewolty. Tylko miłe uczucie.

„Chemia między ludźmi to dziwna sprawa - powiedziała mi raz moja mama. - Nie zawsze wiadomo, co sprawia, że się w kimś zakochujemy. To oczywiste, że wspólne zainteresowania pomagają, ale to nie wszystko”.

- Wierzysz w chemię? - zapytał Jasona, kiedy już mnie puścił.

Popatrzył na mnie z rozbawieniem i powiedział:

- Żartujesz. Ledwo wygrzebałam się z trójką w zeszłym semestrze. Dlaczego cię to interesuje?

- Bez powodu. Tak się tylko zastanawiałam. Później, kiedy wróciliśmy do mojego domu, zapytał mnie, czy pójdę z nim do kina w przyszłym tygodniu. Odpowiedziałam, że dam mu znać, bo teraz nie wiem, ile będę miała zajęć. Wyglądał na lekko zmartwionego, ale przyrzekł, że do mnie zadzwoni.

Prawda była taka, że spędziłam z nim miłe chwile, a mimo to nie byłam pewna, czy chcę się z nim jeszcze spotykać. Wiem, że to brzmi wariacko - wiele dziewcząt bardzo pragnie umówić się z Jasonem. Więc co jest ze mną nie tak?

Podejrzewam, że na niektóre pytania nawet komputer nie zna odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 10

Artykuł o Cindy i George'u wzbudził ogromne zainteresowanie. Natychmiast też wzrosło zapotrzebowanie na moje usługi. Przez dwa dni z rzędu czas przeznaczony na przerwę obiadową przesiedziałam w pracowni komputerowej, wprowadzając dane.

W porze lunchu panował tu zawsze ogromny bałagan, bo pan Skorski wpuszczał do pracowni dzieciaki i pozwalał im grać do woli. Oprócz tego wielu starszych uczniów korzysta z komputera przy pracach domowych. Stanowisk komputerowych jest w pracowni około dwudziestu, na środku zaś stoi komputer matka, połączony z głównym terminalem szkoły.

W ten akurat wtorek w pracowni wrzało bardziej niż zwykle. Grupa drugoklasistów, oczekująca na wyniki z komputera i zaczynająca się już niecierpliwie, zaczęła bawić się w rzucanie jeden w drugiego samolocikami zrobionymi ze starych wydruków, a wszystko przy wórze ogłuszającej muzyki rockowej płynącej z wieży Petera Nelsona.

- Coś mi się zdaje, że czy ci to odpowiada, czy nie, musisz ciągnąć ten swój projekt - mruknął pan Skorski, podnosząc samolocik, który wylądował pod moim krzesłem. - Nie uważasz, że najwyższy czas brać opłaty za usługi? Możemy je wykorzystać jako źródło na stworzenie funduszu. Słyszałem, jak dzieciaki się skarżyły, że pracowni przydałoby się więcej gier telewizyjnych, ale wątpię, żeby administracja chciała dać nam na to pieniądze. Co ty na to?

- Jasne - odparłam. - To wspomniały pomysł. Uzgodniliśmy, że dwa dolary to uczciwa cena, a ponieważ nikt się nie sprzeciwił, zleciłam plastykowi z kółka plastycznego zrobienie ogłoszenia na ten temat i wywieszenie go na drzwiach, Polem Randy Weber i Doris Wilcox, nasi szkolni fotograficy, którzy stali się nierozłączni, odkąd komputer ich połączył, wykonali kolaż ze zdjęć przedstawiających komputerowe pary i wywiesili go na szkolnej tablicy ogłoszeniowej. Do końca tygodnia udało nam się zebrać siedemdziesiąt pięć dolarów, a zapotrzebowanie na moje usługi wciąż rosło.

Trudy swój następny artykuł poświęciła parze juniorów, Torey Barnes i Jeffowi Frenchowi.

Można by rzec, że Torey i Jeff zaczęli od wielkiego plusku. Obydwoje należą do sekcji pływackiej, a Torey Została nawet w zeszłym semestrze zwyciężczynią międzyszkolnych zawodów w skakaniu z trampoliny. Obydwoje uwielbiają hamburgery i inne śmieciowe jedzenie, ale nie można się tego domyślić, patrząc na ich sylwetki. Jeff twierdzi, że Torey wygląda doskonale w bikini, a nam pozostaje tylko uwierzyć mu na słowo. Niestety, ostatnio Torey jest dość szczelnie ubrana. Zjedz następną frytkę, Jeff.

- Jejku! - stęknęła Patrice Moyer po przeczytaniu artykułu, który okrzył już całą klasę. - Powinnaś znaleźć kogoś dla Trudy, może wtedy nie będzie miała czasu na pisanie tych straszliwych bzdur.

- Nie rozumiem, co ci się tak nie podoba - burknęła Ann Pritchard, niosąc talerz pełen kanapek z pastą łososiową. - Miłość nigdy nie jest bzdurą. Masz, spróbuj i powiedz mi, jak ci smakuja.

- Co to jest to zielone na wierzchu? - zainteresowała się Patrycja, wykrzywiając nos.

- Siekana pietruszka. Robię je na urodzinowe przyjęcie dla Glenna. - Rozmarzenie spłynęło na jej twarz niczym welon.

- Mmmm, niezłe - powiedziałam. - Może tylko za bardzo słone.

Ann uśmiechnęła się.

- Hej, ty też tam będziesz, prawda? Zapomniałam ci powiedzieć, że jeśli chcesz, możesz kogoś przyprowadzić. Jak tam z tym, jak on ma na imię, Alex?

- Jeśli masz na myśli Toma...

- Och, nie Toma. On przychodzi z Bridget. Mówię o tym drugim chłopaku, tym, z którym leciałaś samolotem.

- Jason. - Poczulałam się tak, jakby ktoś mnie przygniół kamieniem. Wprawdzie Jason dzwonił i chciał się umówić na spotkanie, ale ja się wykręciłam, chociaż wiedziałam, że sprawiam mu przykrość. Zaproszenie na przyjęcie, nawet w ostatniej chwili, z pewnością by go nieco udobruchało.

Wmawiałam sobie, że tym bardziej powinnam udać się na te urodziny, ale w duchu wiedziałam, że moje motywy nie są tak czyste, jak bym chciała. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mi, że w rzeczywistości chcę iść na przyjęcie tylko po to, żeby pokazać Tomowi, że wcale nie siedzę w domu i nie płaczę, podczas gdy on świetnie się bawi z Bridget. Tak czy inaczej, byłam zdecydowana pójść, zwłaszcza, że zapowiadała się dobra zabawa, bo Glenn i Ann są popularni w szkole i znają mnóstwo ludzi.

- Zaczyna się o ósmej? - zapytałam. Kiedy Ann dzwoniła do mnie tydzień wcześniej z zaproszeniem, zapomniałam zapisać to w kalendarzu.

- O ósmej i nie spóźnij się. To ma być niespodzianka, pamiętasz? - Zlizala z palca łososiową pastę. - Masz rację, nie potrzeba więcej soli.

Od dnia, w którym się pokłóciliśmy, Tom ani słowem nie wspomniął o Bridget. W ogóle stał się jakiś małomówny. Zaczynałam już nawet tęsknić za jego głupimi żartami. Tylko duma powstrzymywała mnie przed wyciągnięciem do niego ręki na zgodę.

Później tego popołudnia w szatni natknęłam się na Jasona.

- Wspaniale! - powiedział, kiedy zaprosiłam go na przyjęcie. - Zdaje się, że czeka nas niezła zabawa.

Jego rozświetlone oczy obudziły we mnie wyrzuty sumienia, ale szybko się ich pozbyłam. Naprawdę lubię Jasona i pomyślałam sobie, że może to uczucie w przyszłości zamieni się w coś większego. Muszę mu tylko dać szansę.

Patrzył na mnie w taki sposób, że poczułam się skrępowana.

- Wiesz co, Alex, zaczynałem już myśleć... - wzruszył ramionami. - No wiesz, jak to jest, kiedy się kogoś lubi, ale bez wzajemności.

Zaczerwieniłam się, myśląc o Tomie. Czy postępuję źle zachęcając Jasona, skoro w moich uczuciach panuje taki mętlik? Umknęłam przed tymi dywagacjami, mówiąc mu, o której ma po mnie przyjechać.

- Czy leciałaś kiedyś helikopterem? - zapytał, a jego oczy migotały wesoło.

- Chyba żartujesz!

- Masz rację. - Objął mnie ramieniem i pocałował w czubek nosa. - Ale przez chwilę mi wierzyłaś, co?

Roześmiałam się, czując, że oblewa mnie ciepła fala sympatii dla tego chłopaka. Może jednak...

Ukazało się, że Ann mieszka w apartamencie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, krótko po ósmej, mieszkanie było zapakowane. Przy tym całym hałasie i zamieszaniu nie wyobrażałam sobie, jak uda nam się zaskoczyć Glenna. Już w połowie klatki schodowej domyśli się, co się dzieje.

Dostrzegłam Meredith i Teddy'ego, więc zostawiłam Jasona przy wazie z ponczem i poszłam do nich. Siedzieli na podłodze, zajadali chipsy i przeglądali płyty.

- Hej, czy to nie królowa komputerów we własnej osobie! - przywitał mnie Teddy, posyłając mi swój obezwładniający uśmiech. - Przyszłaś z Tomem?

- Ciii - Meri trąciła go łokciem w żebro, rzucając ostrzegawcze spojrzenie w stronę drzwi, które właśnie się otworzyły i do środka weszło kilka nowych par, między nimi Tom z Bridget.

Serce mi zamarło, kiedy zobaczyłam obcisłe dzinsy Bridget i kłujący w oczy zielony sweterek doskonale pasujący do jej rudych włosów. Bridget jest prawdziwym rudzielcem, nie z tych marchewkowych. Na jej twarzy nie znajdzie się śladu ani jednego piega. Poza tym ma ogromne zielone oczy, które wydają się jeszcze większe, kiedy je pociągnie zielonym cieniem. Nienawidziłam jej i nienawidziłam sposobu, w jaki Tom na nią patrzy.

Co było wielką, niezrozumiałą głupotą, zważywszy na fakt, że przecież nawet go nie

lubiłam.

Zauważyłam mimochodem, że również Teddy jakoś dziwnie przygląda się Bridget. Meri też to spostrzegła.

- Tu jesteś - powiedział Jason, dołączając do mnie i wsuwając mi rękę pod ramię. - Ann kazała roznieść wici, że Glenn się zbliża. Właśnie dzwoniła jego siostra.

- Niech ktoś zgasi światło! - szeptem zarządziła Ann. - I wyłączcie magnetofon. On myśli, że będziemy się uczyć.

- Też mi nauka - mruknęła Patrice. Jednak kiedy rozległo się pukanie Glenna, w mieszkaniu panowała całkowita cisza.

- Niespodzianka! - krzyknęliśmy wszyscy naraz, ruszając do drzwi. Ten, kto wyłączył światło, zapomniał go włączyć i założyłam się, że w ciemności Glenn był przekonany, że napada na niego stado bawołów. Wpadłam na kogoś, potem nagle światło rozbłysło i okazało się, że patrzę wprost w znajomą twarz.

- Tom! - krzyknęłam. Uśmiechnął się.

- Cześć, dzieciaku. Ann mówiła, że to przyjęcie z niespodzianką, ale nie sądziłem, że chodziło o ciebie.

- Mnie też nikt nie mówił, że będziemy się tu bawić w ciuciubabkę - zażartowałam nerwowo. - Co dalej? „Kto pociągnie osła za ogon?”

- Najpierw musimy znaleźć osła. Widzisz kogoś, kto się nadaje?

- To znaczy, że sam się zgłaszasz? - zapytałam, ale już poważnie.

Tom wybuchnął śmiechem, a ja pomyślałam, że dobrze znowu widzieć go wesołym.

- Widać, że spędziłaś dużo czasu w moim towarzystwie. Poprawia ci się poczucie humoru - stwierdził.

- Och? Jestem zaskoczona, że to zauważyłaś. Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Alex, ja...

Przerwała nam Bridget, wsuwając się między nas i oplatając Toma ramieniem.

- Już zaczynałam się niepokoić, że mnie opuściłeś - powiedziała przymilnie. - Mogłam się domyślić, że zagadałeś się z kimś znajomym z pracy.

Obruszyłam się, ale na szczęście Tom uratował sytuację komplementem.

- Tyle tu pięknych kobiet, więc jak mógłbym myśleć o pracy?

Bridget zmarszczyła czoło, ale szybko odzyskała równowagę.

- Zadaje się, Alex, że powinnam ci podziękować. To dzięki tobie jestem tu z Tomem.

- Nie ma o czym mówić - odparłam i patrzyłam, jak odchodzą. Tom obejmował Bridget, która idąc kołysała biodrami w tak muzyki.

Pokój nagle zaczął krążyć wokół mnie, poczułam, że kolorowe dekoracje kłują mnie w oczy, a od głośniejszej muzyki pękają mi uszy. Przyjęcie, które jeszcze przed chwilą wydawało mi się taką atrakcją, w jednej sekundzie straciło cały urok. Niemniej przywołałam na twarz promienny uśmiech i postanowiłam udawać, że dobrze się bawię. Gadałam z ludźmi, tańczyłam z Jasonem, aż nadszedł czas powrotu.

- Dobrze się czujesz? - dopytywał się Jason, kiedy wysiedliśmy z jego samochodu przed moim domem. - Na przyjęciu wyglądało na to, że wspaniale się bawisz, ale w samochodzie nie odezwałaś się ani słowem. Uśmiechnęłam się do niego przepraszająco.

- Wybacz, chyba po prostu jestem zmęczona.

- W porządku, rozumiem. - Stał jakiś czas przy samochodzie milcząc, aż w końcu zdobył się na odwagę, żeby powiedzieć głośno, co mu chodzi po głowie. - Jesteś zakochana w kimś innym, prawda?

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

- Skąd ten wniosek? Wzruszył ramionami.

- Nie jestem głupi, wiesz.

- Och, Jason. Ja... ja nie wiem, co powiedzieć.

- OK. - Odwrócił się do mnie, a w kącikach jego ust czaił się uśmiech. W tej chwili żałowałam, że nie lubię go tak, jak on lubi mnie. Naprawdę tego chciałam, ale nie mogłam. - Tom to fajny gość.

- Skąd wiesz, że chodzi o Toma? - zapytałam.

- Jak już mówiłem, nie jestem głupi.

Potem poszedł, a ja zostałam na chodniku, zastanawiając się, dlaczego jedynymi osobami zbyt głupimi czy ślepyimi na to, żeby zobaczyć, co się dzieje, jesteśmy ja i Tom.

ROZDZIAŁ 11

Następnego dnia wczesnie rano obudziło mnie przeciągle dzwonienie telefonu i choć próbowałam nie reagować, nakładając poduszkę na głowę, w końcu odebrałam. To była Meri i po jej głosie poznałam, że stało się coś złego.

- Och, Al - sapłała, łkając i pojękując. - Nie chcę go nigdy więcej widzieć!

- Kogo?

- Teddy'ego!

Domyślałam się, że musiał zrobić coś naprawdę strasznego, skoro Meri tak się na niego rozgniewała, ale wydawało mi się, że chyba tylko morderstwo mogłoby ją do tego doprowadzić. Sprawa była poważna - na tyle poważna, że porzuciłam swój plan leżenia cały dzień w łóżku i użalania się nad sobą.

- Zaraz u ciebie będę - powiedziałam. - Powiesz mi wszystko, jak przyjdę.

Kiedy się zjawiłam, Meredith nadal była jeszcze w piżamie i kapciach, a oczy miała napuchnięte i czerwone od płaczu. Usiadłam na łóżku i zauważyłam, że jej wczorajsza sukienka leży na podłodze, co nie było naturalne u porządnej Meri.

- Wyglądasz strasznie - stwierdziłam.

- Czuję się strasznie. - Z ciężkim, śmiertelnym westchnieniem opadła na łóżko obok mnie.

- Opowiesz mi, co się stało?

- Pokłóciłam się z Teddym.

- Domyślałam się. Ale, Meri, nie przejmuj się tym tak strasznie. To, że jesteś zakochana, wcale nie znaczy, że nie wolno ci się na coś nie zgadzać. Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni, kiedy obydwójce trochę ochłoniecie.

- Nie sądzę, Al - odparła, znowu wzdychając. - Nie byłaś tam. Nie widziałas.

- Czego?

- Tego, jak on... jak on się przy niej zachowywał. Jak na nią patrzył!

- Meri, o czym ty, do diaska, mówisz? Na kogo patrzył?

- Na Bridget O'Connor!

- Ale Bridget była z Tomem - zaprotestowałam.

- Przyszła z Tomem, ale skończyło się na tym, że trzy razy z rzędu tańczyła z Teddym.

- Meredith wysmarkała nos.

- Może po prostu chciał być dla niej uprzejmy.

- Ha! - zaśmiała się kpiąco.

- Powinnaś zastosować się do swojej własnej rady i zapytać go o to.

- Zrobiłam to - odparła smutno - ale prawie tego żałuję. Czasami lepiej nie znać prawdy. Po pierwsze, Teddy przyznał się, że umawiał się ze mną po to, żeby wzbudzić zazdrość Bridget.

Byłam przerażona.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Skinęła głową, przyciskając do siebie poduszkę.

- To prawda. Powiedział, że właśnie ze sobą zerwali, kiedy usłyszał o komputerowej swatce. Wypełnił kwestionariusz, żeby zrobić jej na złość.

- I dlatego umawiał się z tobą od tamtej pory?

- A co myślisz? To oczywiste.

- Zapytałaś go?

- Nie... nie musiałam. Wystarczyło popatrzeć, jak wyglądają razem. Jakby... jakby do siebie należeli, wiesz, co mam na myśli?

Pomyślałam o Tomie i Bridget, i o tym, jak oni razem wyglądali. To jasne, że ta dziewczyna ma talent do dopasowywania się do partnera, nieważne, kto nim aktualnie jest. Czy to oznacza, że między nią a Tomem nie było nic poważnego? Było mi głupio, że o tym teraz myślę. Nie chciałam zyskiwać na smutku przyjaciółki.

Przytuliłam ją.

- Chodź, ubierz się i pójdziemy na spacer na plażę. Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Plaża była pusta. Odpływ był tak duży, że mogłyśmy wejść po skałkach daleko w morze i przyglądać się, jak w przejrzystej wodzie kraby odprawiają swój podwodny balet. Drżałyśmy z zimna, spodnie przemokły nam do kolan, więc po godzinie postanowiłyśmy wracać. zaproponowałam, żebyśmy poszły na coś ciepłego do picia do Aldo, nadmorskiej restauracyjki z oknami wychodzącymi na port.

Meri czuła się już trochę lepiej, ale nadal wyglądała żałośnie, popijając ze smutkiem parującą kawę i pogryzając do niej słodką bułeczkę.

- Myślałam, że mamy z Teddym tak wiele wspólnego - odezwała się w końcu, wzdychając przy tym. - Aż trudno uwierzyć, że to wszystko to była tylko gra.

Na niebie pojawiło się stadko mew, które z wrzaskiem zaczęły nurkować w wodę. Ich głosy zabrzmiały jakoś tak dziwnie samotnie.

- Może Teddy nie udawał - zaryzykowałam. - Może początkowo tak, ale...

- Teraz mnie żałuje, tak - przerwała mi, a w oczach znowu zalśniły jej łzy. - Przyznaj, Al, że tym razem twój komputer naprawdę się pomylił!

Przerwało nam pojawienie się kelnerki, Angie Pellegrino, dziewczyny, którą znałyśmy ze szkoły, a której ojciec był właścicielem tej restauracji. Miała na sobie zwykłe dzinsy i sweter, i prosty fartuch przepasany w pasie, co pasowało do niewyszukanego wystroju sali. Napełniła nam filiżanki parującą kawą z dzbanka, który przyniosła.

- Hej, słyszałam, że wczoraj u Ann była niezła zabawa - zagaiła. - Nie mogłam pójść, bo jedna z naszych kelnerek zachorowała i musiałam ją w ostatniej chwili zastąpić.

- Tak, ekstra przyjęcie - mruknęła Meredith.

- Szkoda mi tylko Cathy i Steve'a - dodała Angie.

- Co im się stało? - zaciekałam się. Pamiętam, że widziałam Cathy Fitzgerald i Steve'a Kowalskiego na przyjęciu, ale wymieniałam z nimi tylko kilka słów. Cathy i Steve chodzą ze sobą od chwili, gdy komputer ich połączył. Tydzień temu Cathy zwierzyła mi się, że mają nawet zamiar część wakacji spędzić razem w górach w domku jej rodziców.

- Nic nie słyszałaś? - Ciemne oczy Angie pociemniały jeszcze bardziej z podekscytowania faktem, że ma okazję podzielić się z kimś soczystą ploteczką.

- Wysłałam dość wcześnie.

- W gruncie rzeczy do całego zajścia doszło po urodzinach, w drodze do domu. Podejrzewam, że Steve jechał za szybko - chyba chciał się popisać. A Cathy tak się na niego zdenerwowała, że wyskoczyła z samochodu na światłach i resztę drogi pokonała już na piechotę.

- Nie dziwie się jej - stwierdziła Meredith. - Zrobiłabym to samo.

- Pewnie się pogodzą, kiedy Cathy przejdzie złość - rzuciłam.

- To jeszcze nie wszystko. - Angie pochyliła się do nas, a jej ciemne warkoczyki aż podskoczyły nad uszami. Naprawdę się rozpałała. - Steve próbował ją zatrzymać, a ona, niechcący, przycięła mu palec drzwiami. Musiał jechać na pogotowie, żeby mu go nastawili. Jest wściekły.

Meri mruknęła coś pod nosem, coś jakby „następna klęska”.

- Co? - popatrzyłam na nią.

- Nic - odparła i ugryzła ostatnią bułeczkę. Z Meri jest tak zawsze. Kiedy się czymś martwi, zaczyna być głodna. - Powiedzmy tylko, że wszystko nie układa się tak dobrze, jakby chciał czarodziejski komputer.

Z jakiegoś powodu ta uwaga sprawiła, że poczułam ból w żołądku.

Kiedy tylko minęłam drzwi mojego domu, wiedziałam, że czeka mnie jeden z tych dni, których najbardziej nie lubię. Mama i tata właśnie się o coś sprzeczali. Raczej prowadzili gorącą dyskusję, ale ponieważ oni rzadko się ze sobą nie zgadzają - nie licząc utarczek, kto

chce jakie jajka na śniadanie - trochę się zaniepokoiłam, mówiąc oględnie. Dyskutowali na temat babci.

- Nie wiem, Paul - powiedziała mama. - Rozumiem, że to wszystko dla jej dobra, ale ten pomysł, żeby wpłacić na dom. dla niej bez jej wiedzy...

- Przecież nadal będzie mogła podróżować. Wiele biur turystycznych organizuje wycieczki dla osób w jej wieku - tłumaczył tata.

- Osoby w jej wieku! - mama aż sarknęła. - Mama ma się za nastolatkę.

Stali w pokoju jadalnym i nie wiedzieli, że ich podsłuchuję. To było dziwne, stać tam i słuchać kłótni, w której nie brałam udziału, ale jakoś nie potrafiłam się stamtąd ruszyć.

- Dajemy jej to w prezencie - oświadczył tata. - Najwyższy czas, żeby się choć trochę ustabilizowała. Doskonale wie, że chcemy, żeby z nami została, ale, no cóż, kiedy będzie miała jakiś swój kąt, może z kawałkiem ogródka, może zechce zapuścić tam korzenie.

- No nie wiem. Wścieknie się, kiedy się dowie. Kilka dni temu widziałam, że znowu przegląda informatory. Planuje następną wycieczkę do Gór Skalistych.

Tata stęknął.

- I o to mi właśnie chodzi! Jest za stara na takie eskapady, A jeśli się rozchoruje? Co będzie, jeśli samochód zepsuje się na jakimś pustkowiu?

Nie mogłam ich dłużej słuchać. Biedna babcia! Uciekłam do kuchni i puściłam pełny strumień wody, żeby nie słyszeć reszty dyskusji. Wiedziałam, że tata chce jak najlepiej, ale wiedziałam także, jakiej reakcji na jego propozycję można się spodziewać ze strony babci. Poza tym mówili o niej tak, jakby była dzieckiem pozbawionym własnego rozumu! A babcia doskonale potrafi o sobie decydować.

Kończyłam myć ostatni talerz po śniadaniu, kiedy do kuchni weszła mama i usiadła przy stole. Była zmartwiona. Wytarłam ręce i usiadłam naprzeciwko niej.

- Uważam, że to niesprawiedliwe - wyrzuciłam z siebie. - To, co planujecie z babcią.

Mama podniosła głowę, najwyraźniej zdumiona, że mnie widzi. Potem westchnęła i popatrzyła na mnie z przejęciem.

- Cóż, podejrzewam, że i tak byś się dowiedziała wcześniej czy później. Sama nie jestem pewna, czy robimy to, co należy, ale wiem zarazem, że nigdy sobie nie wybaczę, jeśli babci coś się stanie.

- To się nie uda - oświadczyłam stanowczo. - Ona na to nigdy nie pójdzie.

Mama popatrzyła na mnie z zakłopotaniem.

- Zobaczymy. Może będziemy musieli ją trochę przekonywać, ale...

- Czy nie powinno być tak, że to babcia sama podejmuje takie decyzje? - przerwałam

jej. Nie miałam zwyczaju rozmawiać w ten sposób z rodzicami, ale po spotkaniu z Meri i rozmowie, którą podsłuchałam, byłam naprawdę przygnębiona.

- Nie jestem pewna, czy ona sama wie, co jest dla niej najlepsze, kochanie. Nie zrozum mnie źle. Bardzo ją kocham, ale... no cóż, zawsze była trochę nierozsądna. A teraz...

- Uważacie, że głupieje, tak?

Mama nie odpowiedziała, tylko spuściła wzrok na stół i zaczęła wodzić po nim palcem.

Podskoczyłam, odsuwając krzesło z taką siłą, że prawie się przewróciło.

- Ja natomiast wcale nie myślę, że babcia zwariowała! Ona jest po prostu inna, to wszystko. Co w tym złego?

Pobiegłam na górę do swojego pokoju. Sądząc po tym, jak ten dzień się zaczynał, pomyślałam, że najlepiej chyba zrobię, jeśli spędzę cały w łóżku. Jedno wiedziałam na pewno: nie miałam ochoty ani sił na więcej nieprzyjemnych scen.

ROZDZIAŁ 12

KŁOPOTY W RAJU

Trudy Linville

Dawno, dawno temu pewien pomysł wydał się wszystkim bardzo dobry. „Dlaczego by nie łączyć ludzi za pomocą komputera ? „ - zapytywała komputerowa czarodziejka Alex Randall. „Wspaniale! - zakrzyknęli jej znajomi. - Połączymy ludzi jak części układanki”. Potem był wielki bal i wszyscy żyli długo i szczęśliwie...

A może nie? Czy komputerowa bajka z Whitney High naprawdę ma szczęśliwe zakończenie? Jeszcze tego nie wiemy, ale dochodzą nas słuchy, że plan panny Randall ma pewne wady. Nie zamieszczamy tu żadnych nazwisk, ale plotka niesie, że pewien senior ze złamanym sercem i złamanym palcem wini za swoje nieszczęście pewien komputer. Albo ta opowiadka, jakoby pewien koszykarz został porzucony przez swoją ukochaną... Do usłyszenia w przyszłym tygodniu.

Rzuciłam gazetę na biurko. Ta Trudy to ma tupet! Za kogo ona się uważa - Woodward albo Bernstein w jednym! Czułam, że policzki mi płoną, jakby mnie ktoś uderzył.

Tom spostrzegł moją minę i pospieszył do mnie.

- Hej, nie łam się. To tylko złośliwe wypociny. - Uśmiechnął się. - Choć trochę prawdy w nich jest.

Starłam się ukryć zaskoczenie jego niespodziewanym zainteresowaniem moją osobą. Udawało nam się unikać jedno drugiego przez ostatni tydzień, ale miałam już dosyć naszej sztucznej uprzejmości. Ucieszyłam się, że postanowił przestać traktować mnie tak, jakbym była ze szkła.

- Denerwuje mnie tylko to, że pisze w taki sposób, jakby to była wyłącznie moja wina!
- poskarżyłam się.

- Nadal uważasz, że ten pomysł był taki wspaniały? Pamiętasz, ostrzegałem cię.

- OK, wiem, ale przecież nic nikomu nie gwarantowałam.

- Tak, jednak kiedy ludzie rozglądają się za kimś, na kogo mogą zrzucić winę, zawsze wybierają najłatwiejszy cel. A w tym wypadku jesteś nim ty.

- Ale mój pomysł nie jest do końca takim niewypałem - broniłam się. Słyszałam wprawdzie o tym, że Lissa Watts zerwała z Bruce'em McCalebem i oczywiście cała szkoła wiedziała o złamanym palcu Steve'a, jednak to tylko dwie pary, została jeszcze masa innych ludzi.

- Posłuchaj, nie zrozum mnie źle. Jestem po twojej stronie. Może tylko za wiele

oczekiwałaś.

- Co to ma znaczyć? Wzruszył ramionami.

- Komputery przydają się w wielu dziedzinach życia, ale kiedy w grę wchodzi miłość - cóż, czasami lepiej nie zmieniać, ustalonego porządku.

- Wątpię, czy Bridget by się z tobą zgodziła - nie potrafiłam się powstrzymać, żeby mu tego nie wypalić.

- A co ma z tym wspólnego Bridget?

- Sądziłam, że to twoja wymarzona dziewczyna.

- Wymarzona dziewczyna? - Tom zaczął się śmiać. - Skąd ten pomysł?

Nagle poczułam się nieswojo. Czy za dużo wyjawiałam? Czy pomyśli teraz, że jestem zazdrosna?

- Po prostu na urodzinach pomyślałam...

- Och, to cała Bridget. Jest największą flirciarą w szkole. Chciałaby, żeby każdy chłopak o niej marzył.

- A co z nią i Teddym? - zapytałam, sondując go. - Słyszałam, że być może znowu zaczną ze sobą chodzić.

Tom wykrzywił usta.

- Masz lepsze ucho niż Trudy. Od kogo to słyszałaś?

- Och, ktoś tam mi mówił. - Nie chciałam mu opowiadać o smutku Meri, który nie opuszczał jej przez cały tydzień. Nadal nie była pewna, czy Teddy spotyka się z Bridget, ale nie zadzwonił do niej od urodzin, co stanowiło wystarczający dowód.

Tom przyglądał mi się badawczo przez przymrużone powieki, jak kot. Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

- Posłuchaj, Alex, co do tego przyjęcia...

Nie miał okazji skończyć tego, co chciał powiedzieć. Wszedł pan Packard, poszukując swojej fajki, którą zawsze gdzieś zostawiał i zapominał gdzie. Tom odnalazł ją na ochładzaczku wody, a pan Packard zużył całe pudełko zapalek, żeby ją rozpalić. Intymna atmosfera minęła bezpowrotnie. Po wyjściu pana Packarda w milczeniu wróciliśmy do pracy.

Czy oczekiwałam zbyt wiele? - zastanawiałam się w duchu. Czy komputer potrafi wyczarować coś z liczb i statystyki? Tak właśnie myślałam na samym początku, ale teraz nie byłam już taka pewna. Jak to mówiła mama, chemia między ludźmi to tajemnicze zjawisko. Podejrzewam, że właśnie z tego powodu nie wyszło nam z Jasonem, chociaż go lubię i mamy ze sobą wiele wspólnego. Co do Toma i mojej osoby - cóż, nie chciałam o tym myśleć.

Nic, co tyczy się nas, nie ma sensu.

Będiesz w niedzielę w myjni? - zapytała Joan Hallory, podchodząc do umywalki, w której zmywałam z rąk glinę pozostałą po lekcji ceramiki. - Nie było cię w czwartek w School Spirit, więc się zastanawiam.

- A tak, byłam zajęta. - Nie chciałam jej mówić, że zupełnie zapomniałam o spotkaniu.
- Ale nie martw się. Przyjdę w niedzielę. - W myjni, między innymi, seniorzy szkoły starali się zarobić pieniądze na zbliżający się bal maturalny.

- Módlmy się, żeby nie padało - westchnęła Joan. - Zapowiadają chmury i niestety deszcz. Jeśli tak, to nie będziemy mieli co robić. Ludzie nie myją samochodów, kiedy pada.

Zachmurzenie i deszcz - to brzmiało jak prognoza na moją przyszłość.

- Dlaczego mieliby płacić za coś, co dostają za darmo?

- Coś podobnego mogłaby powiedzieć Trudy na temat twojego komputerowego projektu - rzuciła Joan, chichocząc.

Spojrzała na mnie roziskrzonymi oczami, - Czy to prawda o Lissie? Czy naprawdę powiedziała Bruce'owi, żeby się powiesił na koszu?

- Skąd mam wiedzieć? - odburknęłam z irytacją. - Zapytaj Trudy.

- Prze...przepraszam - wyjąkała Joan. - A tak w ogóle to co cię gryzie?

Teraz nadeszła moja kolej na przeprosiny. Joan nie chciała mi dokuczyć, a ja nie miałam prawa na nią naskoczyć.

- Teraz już wiem, jak się czuje sprzedawca używanych samochodów - wyznałam. - W czasie lunchu podszedł do mnie jakiś chłopak i zażądał zwrotu dwóch dolarów.

Joan roześmiała się.

- Co się stało? Czy jego dziewczynie pękła opona?

- Niezupełnie. Komputer się pomylił i umówił go na randkę z przyrodnią siostrą. To oczywiste, że mają ze sobą wiele wspólnego. Mieszkają w jednym domu, ale się nie znoszą. Ten chłopak powiedział, że wolałby się powiesić, niż umówić się z własną siostrą.

Popatrzyłyśmy na siebie i naraz wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem. Jak się spojrzało na to z innej strony, to cała historia wyglądała naprawdę śmiesznie.

- Pamiętasz to pytanie, z jakim programem telewizyjnym porównałbyś swoje życie? - zapytała Joan. - W ich przypadku byłaby to pewnie mieszanka *Statku miłości* i *Bandy Brady!*

Zaczęłyśmy się wygłupiać i wymyślać następne dowcipy o parach z komputera i dziennikarskim stylu Trudy. Łzy płynęły nam z oczu i nie mogłyśmy złapać tchu. Tak dobrze było znowu się śmiać. Nie robiłam tego od ostatniego wyjścia z Tomem.

- Wiesz, co powinnaś zrobić? - zasugerowała Joan, kiedy już mogła oddychać. - Powinnaś umówić Trudy z jednym ze swoich najbardziej niezadowolonych klientów. Może

wtedy zostawi cię w spokoju.

- Nie znam nikogo aż tak niezadowolonego, ale dzięki za pomysł. Zastanowię się, chociaż odnoszę wrażenie, że moja rola swatki się kończy.

- Nie przejmuj się - pocieszyła mnie. - Na początku pomysł był naprawdę dobry. Zresztą bez niego bal byłby do niczego.

- Szkoda tylko, że już po balu nie dałam sobie z tym spokoju.

- Święte słowa. - Joan znowu zachichotała.

- Racja. - Uderzyłam pięścią w bryłkę gliny. Zdaje się, że chciałam zrobić to, co wszyscy, to znaczy rzucić winę za swoją głupotę na okoliczności.

Kiedy wróciłam po szkole do domu, zastałam tam taki oto obrazek: opalona twarz babci wзираła zza liści jaworu, rosnącego na podwórku od frontu. Zdaje się, że Butternut uciekł na drzewo przed psem sąsiadów i babcia ruszyła mu na pomoc. Udało jej się wejść, ale nie umiała zejść.

- Łatwiej było wejść na to cholerstwo niż zejść - mruzczała, wyraźnie zła na samą siebie.

- Przyniosę drabinę! - zawołałam do niej. - Nie ruszaj się!

- A gdzie bym miała stąd iść? - Jej głos uderzył we mnie jak prąd elektryczny.

Pięć minut później przytrzymałam drabinę, po której babcia ostrożnie zeszła na ziemię. Pod ramieniem trzymała Butternuta, którego ogon prężył się dumnie. Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie, ile zabawy czeka nas przy opowiadaniu o tym wydarzeniu reszcie rodziny. Ale kiedy tylko babcia dotknęła ziemi, uśmiech zamarł mi na ustach. Zorientowałam się, że jest bardzo poruszona. Miała pobladłą twarz, a z potarganych włosów sterczały wyschnięte liście. Zupełnie nie przypominała tej nieustraszonej babci, którą znałam. Raczej wyglądała jak krucha staruszka.

Powtórzyła na głos moje myśli.

- Zdaje się, że będę musiała spojrzeć prawdzie w oczy. To znaczy temu, że się starzeję. Nie mogę wiecznie się okłamywać. - Opuściła kota na ziemię, a ten natychmiast umknął w pobliskie krzaki.

- Och, babciu, przecież nie jesteś taka stara - próbowałam podnieść ją na duchu. Z jakiegoś powodu bardziej mnie zdenerwowała jej kapitulacja niż plany rodziców.

- Muszę zaakceptować prawdę - powtórzyła. - Nie jestem już podlotkiem. Może twoja mama ma jednak rację...

Mieliśmy w szkole kurs z psychologii, więc teraz postanowiłam wypróbować na babci metodę przytakiwania.

- Tak, prawdopodobnie ma. Tak sobie nawet myślałam, że mogłybyśmy razem zapisać się na kurs robienia na drutach. Zawsze chciałam się tego nauczyć, a skoro teraz będziesz więcej czasu spędzała w domu...

Babcia wyprostowała się i chociaż nadal była blada, wróciła jej dawna żywotność.

- Ha! - sarknęła. - Nauczę się robić na drutach, kiedy ty sama będziesz już staruszką. Poza tym, kto mówił cokolwiek o siedzeniu w domu? Wspomniałam tylko o tym, że muszę zwolnić tempo.

Uśmiechnęłam się.

- Chodźmy, zrobię tosty z masłem orzechowym. Umieram z głodu.

W kuchni natknęłam się na Gordy'ego, który próbował zrobić kakao. Skawaliło się i nie chciało się rozpuścić w zimnym mleku. Brat obrzucił mnie ponurym spojrzeniem i odwrócił wzrok. Jak szalony mieszał mleko, nie udało mu się jednak, więc w końcu zrezygnował i wypił je, nie patrząc na brązowe grudki.

- Co ci się stało? - zapytałam, sięgając po bułkę i pakując ją do tosterka. - Wyglądasz tak, jakbyś właśnie stracił najlepszego przyjaciela. A może znowu przegrałeś z Liz.

O dziwo, Gordy nie zrewanżował mi się żadnym ostrym dowcipem.

- Odczep się, dobrze? - wypalił. - Nie jestem w nastroju do żartów.

Działo się coś poważniejszego, niż sądziłam. Porzuciłam więc kpiący ton i zapytałam łagodniej:

- Nie chcesz mi o tym opowiedzieć? Wiem, że starsze siostry to zaraza, ale czasami możemy być pomocne.

Gordy zwiesił głowę. Wydawał się być załamany.

- Pokłóciliśmy się z Liz - wyznał. - Wyszła kilka minut przed twoim przyjściem. Płakała!

Następna ofiara Projektu Kupidyn? Nie mogłam uwierzyć, że tak mi się wszystko zwała na głowę!

- Jeśli się popłakała, to musiała mieć ważny powód. Gordy jęknął.

- Zdaje się, że zraniłem jej uczucia. Nie miałem takiego zamiaru, nie wiedziałem, że jest taka wrażliwa.

- Co jej powiedziałaś?

- Tylko tyle, że lubię ją za jej bystrość, a nie za wygląd. Skąd miałem wiedzieć, że tak ją to urazi?

- Właśnie dostałeś jedną z najważniejszych lekcji w życiu, Gord. - Westchnęłam. - Wszystkie kobiety są czułe na punkcie swojej urody.

- Nie miałem na myśli tego, że jest brzydka czy coś w tym rodzaju. Chciałem tylko powiedzieć och, Jezu, już sam nie wiem, o co mi chodziło! Kobiety zawsze robią mi wodę z mózgu. Mój błąd polegał na tym, że sądziłem, że Liz jest inna.

Wywróciłam oczami.

- Chłopie, musisz się jeszcze wiele nauczyć na temat płci przeciwnej!

Popatrzył na mnie ze złością i z hukiem odstawił szklanę do pustego zlewozmywaka.

- Tak, na przykład, że nie trzeba wierzyć siostrze, kiedy twierdzi, że chce ci pomóc. Dzięki za nic! - wrzasnął, okręcając się na pięcie i wybiegając z kuchni.

Czułam się jak Benedict Arnold. W końcu mój brat chciał mi się zwierzyć; nieważne, jak niezręcznie postąpił z Liz, powinnam była powstrzymać język. W rzeczywistości zaczęłam wątpić, czy sama rozumiem płęć przeciwną. Ostatnio tyle rzeczy się komplikowało.

Babcia wetknęła głowę przez drzwi kuchni i zmarszczyła nos.

- Co się przypala?

- Tosty! - Otworzyłam toster, z którego uniósł się czarny dym. - Zaraz zrobię nowe.

- Nie trzeba - odrzekła. Zauważyłam, że się uczesała i pomalowała usta. - I tak muszę wyjść. Zjem coś na mieście, bo inaczej się spóźnię.

- Spóźnisz się? Na co?

- W klubie Sierra jest odczyt. Chcę go posłuchać. - Jej niebieskie oczy zamigotały. - Wspinaczka górską dla ludzi w latach osiemdziesiątych.

- To brzmi bardzo... współcześnie. Babcia zaśmiała się.

- Źle mnie zrozumiałaś. Howard Dennison, który prowadzi ten odczyt, ma osiemdziesiąt dwa lata.

- W takim razie brzmi to inspirująco.

Nie wspomniałam, że przydałoby się trochę inspiracji także tu na miejsku.

ROZDZIAŁ 13

A jeśli Teddy tam jest? - pytała Meredith, wciskając stopy w zniszczone chodaki, przypominając raczej skazańca idącego na gilotynę niż kogoś, kto ma pracować w myjni. - Nie wiem, Al, czy będę potrafiła wytrzymać w jego towarzystwie.

- To dlatego zakładasz swoje nowe spodenki do tenisa, zamiast tych starych obciętych dżinsów? - zapytałam, drocząc się z nią.

Zaczerwieniła się, ale po chwili uśmiechnęła.

- Cóż, jeśli tam będzie, chcę, żeby wiedział, co traci.

- Mam przecucie, że on już to wie. Spotkałam Teddy'ego kilka razy w szkole i nie wyglądał na najszcześniejszego.

Meri rozpromieniła się.

- Tak sądzisz? Wiesz, że nie mówiłam do końca prawdy o tym, że nie chcę go więcej widzieć. - Potem dodała z zawstydzieniem: - Chciałabym się z nim znowu umówić, ale... ale nie jako ta druga.

Czy nie to właśnie próbował powiedzieć mi Jason? Widziałam go raz czy dwa po urodzinach, a on zawsze był dla mnie miły. Ale to wszystko. Obydwoje chyba czuliśmy, że lepiej jest tak, jak jest. Jeśli ludzie nie czują do siebie tego samego, lepiej nie łączyć ich na siłę. Czy nie nauczyłam się tego na Tomie?

- Chodźmy - powiedziałam, łapiąc za wiadro i gąbkę, które ze sobą przyniosłam. - Musimy się pospieszyć, bo się spóźnimy.

Myjnia znajdowała się na stacji benzynowej, której właścicielem jest ojciec Denisa Walkera. Stacja stała blisko autostrady, a ponieważ niedziela jest zawsze dniem wypadów za miasto, spodziewaliśmy się wielu klientów. Oczywiście do pracy miało przyjść tylu uczniów, że zapowiadała się bardziej zabawa niż praca. Pod koniec dnia wszyscy będziemy przemoczeni i opaleni, a potem pójdziemy gdzieś na pizzę.

Na miejscu okazało się, że zjawili się prawie wszyscy moi znajomi - Joan i Jacki, Ann z Glennem, Denice i Bruce - nawet Randy i Doris z aparatami, bo zamierzali zrobić zdjęcia i to nie tylko do gazetki szkolnej, ale też dla lokalnej gazety. Nie dostrzegłam nigdzie Teddy'ego ani Toma i byłam zawiedziona.

Ktoś wetknął mi w rękę węża i nim się spostrzegłam, myłam już lawendowego cadillaca wielkości statku pasażerskiego, w którym siedziała damulka z włosami ufarbowanymi na ten sam kolor. Meri miała więcej szczęścia - dostał jej się stary gruchot. Jego właściciel gawędził sobie z nią i wyglądał na bardziej zainteresowanego tą rozmową niż

umyciem samochodu.

Po niedługim czasie stacja zarośla się od samochodów, wszędzie latały bąbelki piany i tryskała woda. Nad tym górował głośny śmiech, przerywany od czasu do czasu piskiem osoby, która znalazła się pod obstrzałem zimnego prysznica. Nawet Meri, pierwszy raz od wielu dni, rozluźniła się i naprawdę dobrze się bawiła.

Czyściłam boczne lusterko hondy civic, kiedy zorientowałam się, że słyszę gniewną wymianę zdań. Rozejrzałam się i zobaczyłam Glenna i Ann stojących w wyzywających pozach po dwóch stronach czerwonego wozu sportowego. Twarz Anny przypominała kolor samochodu. Glenn patrzył na nią z gniewem i uporem.

- Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś flirtuje - krzyczał - i ty właśnie to robiłaś z tym facetem!

- Mogę rozmawiać, z kim chcę! - wrzasnęła. - A dla twojej informacji, wcale nie flirtowałam. Chyba że wskazywanie komuś drogi na plażę nazywasz flirtem!

- Musisz cała na nim leżeć, żeby pokazać mu drogę? Wszyscy przestali pracować i przyglądali się im. Glenn był tak zły, że widziałam, jak mięśnie napinają mu się pod podkoszulkiem. Ann wyglądała tak, jakby się miała zaraz rozpląkać.

- To nieprawda! - protestowała. - Ale nawet gdyby było tak, jak mówisz, nie miałeś prawa tak się do niego odzywać. Zachowujesz się tak... tak jakbyś był moim właścicielem!

- Byłem na tyle durny, że uwierzyłem, że chodzenie na stałe coś dla ciebie znaczy, to wszystko! Szkoda, że wcześniej się nie zastanowiłem, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co o tobie wiem.

Tego było dla Ann za dużo. Złapała gąbkę nasączoną wodą z wiadra i rzuciła nią w Glenna, trafiając go prosto w twarz. Stał przez chwilę nieruchomo, z otwartymi ze zdziwienia ustami i wodą spływającą po policzkach. Potem złapał za wąż, przekręcił go na najsilniejszy strumień i wycelował w Annę. Ta z wrzaskiem zaczęła przed nim uciekać.

Reszta nas stała i przyglądała się im z niedowierzaniem. Ann płakała, a czarny tusz rzeźbił na jej policzkach dziwaczne wzory. Glennowi chyba w końcu zrobiło się jej żal, bo odrzucił wąż i ruszył w jej stronę.

- Ann, ja...

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - zapiszczała. - Nie chcę z tobą rozmawiać do końca życia! Kiedy pomyślę o tym kretyńskim komputerze - - Nie skończyła, tylko zanosząc się płaczem, uciekła na stację.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Doris Wilcox z uśmiechem szczęścia na twarzy strzela zdjęcia jedno po drugim. Jęknęłam. Doris i Trudy są przyjaciółkami, więc nie miałam

wątpliwości, że cała historia dotrze do uszu Trudy w rekordowym tempie.

To było tak, jakby ktoś pociągnął jedną nitkę i przyglądał się, jak pruje się cały sweter, pomyślałam. Nie mogłam jednak uwierzyć, że Projekt Kupidyn pruje się z taką prędkością.

Już w następny piątek mogłam się przekonać, jak trujące jest pióro Trudy. Siedziałyśmy z Meri na trawniku w czasie lunchu, łapiąc pierwsze ciepłe promienie wiosennego słońca, kiedy obok nas opadła Cathy. Podała nam ostatnie wydanie *World*.

- Widziałaś to, Alex? Uważam, że tym razem Trudy posunęła się za daleko.

Popatrzyłam na pierwszą stronę, na której widniało zdjęcie przemoczonej Ann rzucającej gąbką w Glenna. Podpis pod zdjęciem brzmiał: KOMPUTEROWA EX TWIERDZI, ŻE PROJEKT KUPIDYN SPŁYNAŁ Z WODĄ.

Nie potrzebowałam czytać dalej.

- Artykuł wyraża to, co w gruncie rzeczy myślą wszyscy - stwierdziłam ponuro.

Cathy próbowała mnie bronić.

- To nieprawda! Ja ciebie nie obwiniam. Przecież to nie ty przycięłaś palce Steve'owi.

- Czy on nadal jest na ciebie wściekły? - zainteresowałam się.

Spuściła wzrok, bezwiednie rwąc źdźbło trawy.

- Nie, rozmawialiśmy. Postanowiliśmy, że na razie pozostaniemy tylko przyjaciółmi. Co będzie potem, nie mam pojęcia. Zdaliśmy sobie sprawę, że wiele z tego, co wcześniej czuliśmy, było przesadzone.

- Przesadzone? - powtórzyła niczym echo Meri.

- Tak, no wiecie, to całe gadanie, że jesteśmy dla siebie stworzeni, że idealna z nas para. W prawdziwym życiu nie ma czegoś takiego jak doskonale dopasowani ludzie. Sądę, że w tym tkwi błąd twojego projektu, Alex. Ludzie zbyt wiele po nim oczekiwali.

- Zdaje się, że już to gdzieś słyszałam - mruknęłam. Patrice westchnęła.

- Przez tę ponurą gadkę zrobiłam się głodna. Macie coś dobrego do jedzenia?

Bez słowa podałam jej moje ciasteczka. Nie miałam jakoś na nie apetytu. W ogóle już od tygodnia apatyt mi nie dopisywał, prawdopodobnie dlatego, że tak się wszystkim przejęłam. Zastanawiałam się, czy mi się to tylko wydaje, czy może rzeczywiście znajomi zaczęli mnie unikać. Nikt mnie też już więcej nie prosił o znalezienie partnera - co zresztą dobrze się składało, bo i tak chciałam zamknąć cały biznes. Ale to, co powiedziała Cathy, miało sens. Naprawdę nie istnieją idealne pary. Zdając sobie z tego sprawę, zrozumiałam też, że to, co zrobiłam, nie jest aż tak bardzo okropne. Kilka par się rozpadło, ale ogólnie wszyscy dobrze się bawili - no i tak jak w przypadku Cathy i Steve'a, może nawet czegoś się nauczyli.

- Chciałabym, że tylko to dzieliło mnie z Teddym - lamentowała Meredith. - Na całe

nieszczęście mój problem jest o wiele bardziej skomplikowany.

- Chyba nie mówisz o problemie, który ma rude włosy, zielone oczy i kręci zalotnie pupą, co? - zapytała Patrice z chichotem.

- Skąd wiesz?

- Bridget jest problemem wszystkich dziewczyn w szkole - zauważyła Cathy. - Ale dlaczego sądzisz, że Teddy nadal się w niej kocha?

Meri zaczerwieniła się.

- Nie musiał mi tego mówić. Sama się domyśliłam. Chodził z nią, zanim mnie poznał, no i cóż, nie rozumiesz? To beznadziejne.

- Nie byłabym taka pewna - rzuciła z zamyśleniem Cathy. - Steve przyjaźni się z Teddym i Teddy mu powiedział, że nie jest już zainteresowany Bridget. Od czasu kiedy poznał ciebie.

Meri trochę się rozchmurzyła.

- Ale mnie powiedział, że umówił się ze mną tylko po to, żeby wywołać w niej zazdrość!

- Na początku może i tak było. Potem przekonał się, że naprawdę cię lubi - wyjaśniła.

- Ale dlaczego ja ci to powtarzam? Lepiej sama porozmawiaj z Teddym.

- Za późno. - Meri spuściła głowę. - Gdyby chciał mi to powiedzieć, miał szansę.

- Może uznał, że nie jesteś gotowa go wysłuchać - zasugerowałam.

Meri wzruszyła ramionami i nadal wpatrywała się w swoje paznokcie, jakby były najbardziej fascynującą rzeczą na świecie. Nagle Patrice uśmiechnęła się przebiegle.

- Masz szansę sama się przekonać - powiedziała, celując palcem w grupę chłopców stojących pod parkanem. Był z nimi Teddy.

Meri podniosła głowę i zobaczyłam, że wpada w panikę. Wiedziałam, że obmyśla drogę ucieczki, ale było za późno. Teddy także ją zauważył. Chwilę się zastanawiał, ale zaraz ruszył w naszą stronę; miał zdecydowany wyraz twarzy.

Patrice i Cathy wstały, otrzepując spodnie z trawy.

- Cześć - rzuciły jak jeden mąż na pożegnanie. - Opowiecie nam wszystko później!

- Tylko nic nie mówcie Trudy - ostrzegłam.

Kiedy Teddy stanął przed nami i bez słowa wbił wzrok w Meri, zrozumiałam, że na mnie też czas. Pochwyciłam resztki śniadania i wepchnęłam do tornistra, mamrocząc pod nosem słowa pożegnania. Meredith prawie tego nie zauważyła - byk zbyt pochłonięta wgapieniem się w Teddy'ego takim samym jak on zahipnotyzowanym wzrokiem.

Myślałam o nich, idąc na lekcję. Wiedziałam, że im się ułoży, ponieważ naprawdę się

sobie podobali. Cieszyłam się z tego powodu. Ale zarazem nie mogłam pozbyć się uczucia osamotnienia, które przypominało ból, jaki się odczuwa, kiedy zmęczysz się zbyt intensywnym biegiem. W tym przypadku, uciekałam od prawdy - od prawdy o tym, że jestem zakochana w Tomie, choć bardzo chciałam temu zaprzeczyć.

Zatrzymałam się przy fontannie, żeby ugasić pragnienie i niechcący usłyszałam rozmowę dwóch stojących w pobliżu dziewczyn. Nie widziałam ich twarzy, bo zasłaniały je drzwi szafki, ale ich słowa dokładnie do mnie docierały.

- Chętnie bym zaskarżyła tę Alex Randall, gdybym mogła - powiedziała jedna. - Nie spotkałam gorszej oszustki. Barry okazał się straszny. Jeżeli to ma być mój doskonały partner, to równie dobrze mogę się spotykać z królikiem Bugsem.

- Dlaczego akurat z nim?

- Całą noc spędził nad moją szyją, jakbym była marchewką. Szkoda, że tego nie widziałas!

- Wielkie dzięki. Wolę nie. Może Alex sama powinna się z nim umówić, bo przecież to był jej pomysł. - Ściszyła głos, ale słyszałam każde słowo bardzo wyraźnie i każde robiło mi dziurę w sercu. - O ile wiem, jej także komputer nie pomógł.

Uciekłam, bo nie chciałam słyszeć nic więcej. Dziewczyny plotkowały, ale w rzeczywistości mówiły prawdę, a ta prawda bolała.

ROZDZIAŁ 14

Byłam tak pogrążona w smutku i rozterce, że kiedy doszłam na swoje następne zajęcia - a akurat, traf chciał, że był to kurs przygotowawczy do przyszłej pracy - prawie zderzyłam się z Tomem w drzwiach i mało go nie przewróciłam.

- Co się stało? - zapytał, przytrzymując mnie obydwoma rękami. - Wyglądasz strasznie.

Jak mogłam mu powiedzieć, o czym właśnie myślę i co do niego czuję? Wyszłabym na jeszcze większą idiotkę. Otworzyłam usta, żeby rzucić coś śmiesznego i lekkiego, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Jego mocny uścisk wzniecił we mnie jakieś ciepło, od którego zrobiło mi się słabo. Rozplakałam się.

- Hej, daj spokój. - Objął mnie ramieniem. - Nie jest przecież aż tak źle. Co powiesz na to, żebyśmy się urwali z zajęć i poszli gdzieś pogadać?

Jego braterskie współczucie jeszcze bardziej mnie rozkleiło.

- Tom, ja... ja... - dukałam, ale bezowocnie. Nie mogłam wydusić ani słowa więcej. Stałam więc tam i łkałam jak prawdziwa idiotka. Dlaczego życie musi być takie skomplikowane? W końcu zdołałam wyjąkać: - Och, dajmy sobie z tym spokój. Nic się nie stało!

Odwróciłam się i wybiegłam z klasy, nie zwracając uwagi na to, że Tom za mną woła.

- Alex, zaczekaj. Chcę z tobą porozmawiać, naprawdę chcę!

Wcale nie, myślałam i pragnęłam wykrzyczeć mu to prosto w twarz. Ty tylko potrzebujesz publiczności, kogoś, kto będzie się śmiał z twoich żartów. Kogoś, kogo od czasu do czasu gdzieś zabierzesz, może na tańce, może nawet pocałujesz, ale nie będziesz musiał brać go poważnie. Nagle zaświtało mi w głowie, że Tom nikogo i niczego nie traktuje poważnie. Także mnie.

Jedno było dla mnie jasne - nie przetrwam tego dnia w takim stanie. Postanowiłam opuścić resztę lekcji i wcześniej wrócić do domu. Może to ostatni mój dzień w tej szkole, powiedziałam sobie w duchu. Wtedy już nigdy nie będę musiała patrzeć na Toma Jurgensena.

Kiedy dotarłam do domu, okazało się, że nikogo w nim nie ma. Dziękowałam za to losowi. Ze wstrętem myślałam o lawinie pytań dotyczących mojej spuchniętej i zaczerwienionej twarzy. Chciałam być sama.

Najpierw wzięłam długi i gorący prysznic, po którym poczułam się trochę lepiej. Włożyłam świeże dzinsy i podkoszulek w białe - niebieskie pasy. Potem zdałam sobie sprawę, że jestem straszliwie głodna. Nie zjadłam śniadania przed wyjściem do szkoły, a w szkole tylko pół lunchu, więc nic dziwnego, że teraz zamarzyło mi się coś konkretnego - na

przykład pizza.

Ponieważ nie miałam ochoty wychodzić, zadzwoniłam do pobliskiej pizzerii. Czekając na dostawę, zjrzałam do kuchni, szukając czegoś do przegryzienia.

Byłam w połowie drugiego skrzydełka kurczaka, gdy odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Nie chcąc widzieć nikogo, nawet dostawcy, zawołałam, że jest otwarte i że pieniądze leżą na stole!

Usłyszałam, że drzwi się otwierają, a potem zamykają, więc uznałam, że dostawca wyszedł. Stałam tyłem do drzwi, wkładając jedzenie z powrotem do lodówki, gdy za plecami usłyszałam jakiś szmer. Omal nie wyskoczyłam ze skóry ze strachu.

Okręciłam się i zobaczyłam Toma - uśmiechał się do mnie szeroko. Trzymał w ręku pizzę owiniętą w folię.

- Bez anchois, tak?

- T... tom - zająknęłam się. - Co ty tu robisz?

- Przejeżdżałem tędy i zobaczyłem dostawcę z pizzą. Nie mogłem się oprzeć pokusie.

Roześmiałam się mimo wszystko.

- Jesteś niemożliwy!

- Nie, tylko głodny. - Zerwał folię i wziął sobie kawałek. - Mmmm... wspaniała.

Widzę, że lubimy nawet ten sam rodzaj pizzy.

- Masz świra!

- Z tym się zgodzę. - Nagle przestał się uśmiechać. Jego orzechowe oczy stały się poważne. - Sposób, w jaki cię traktowałem przez ostatnie kilka tygodni, był nie do przyjęcia. Jestem stuprocentowym durniem. Wtedy po balu chciałem... - Zamilkł i poczerwieniał. - Wystarczy, że powiem, że od tamtego wieczoru czuję do ciebie coś innego. Tylko że nie wiedziałem jak i bałem się ci to powiedzieć. Trochę zawstydzona dotknęłam jego ramienia.

- Ja też się bałam.

- Te moje teksty o szukaniu dziewczyny marzeń to były prawdziwe głupoty. Ale ja tylko żartowałem. Polem komputer wybrał Bridget i sprawy się nieco pogmatwały. Tylko z tobą chciałem być na przyjęciu u Ann. Próbowałem ci to potem powiedzieć, ale zdaje się, że stchórzyłem. Dzisiaj postanowiłem, że się nie poddam; nawet jeśli już nigdy nie zechcesz ze mną gadać.

- Cieszę się, że się odważyłeś - powiedziałam i uśmiechnęłam się. - Widzisz, nadal z tobą rozmawiam.

Staliśmy tak jeszcze przez kilka sekund, patrząc na siebie, a potem Tom pochylił się i mnie pocałował. Miał ciepłe i słonawe usta. Poczułam, że kolana mi miękną.

W końcu odsunął się ode mnie niechętnie.

- O, doskonały dodatek do pizzy. Wspaniale poprawia jej smak.

Żeby to sprawdzić, pocałował mnie jeszcze raz.

- Och - westchnęłam, bo nagle zabrakło mi słów. Przyglądał mi się ciepło, niemalże pieszcząc moją twarz tym spojrzeniem.

- Założę się, że tego twój komputer nie umiał przewidzieć.

- Nie wspominaj ani słowem o komputerach. - W jego czułych objęciach nie chciałam myśleć o niczym innym, tylko o tej chwili.

- Pizza stygnie - mruknął, cmokając mnie w koniuszek ucha.

- Zapomnij o pizzy.

- OK, już zapomniałem. - Jego usta znowu dotarły do moich. Całowaliśmy się najpierw delikatnie i lekko, potem coraz goręcej.

O jednym przekonałam się na pewno: w pocałunkach Toma nie było nic komputerowego.

ROZDZIAŁ 15

Tom wkrótce wyszedł. Pocałowaliśmy się jeszcze kilka razy, a potem sięgnęliśmy po zimną już pizzę. Ale to nie miało znaczenia. Prawie jej zresztą nie ruszyłam, bo żal mi było czasu, ponieważ musiałam opowiedzieć Tomowi wszystko to, co chciałam mu przekazać już od tygodni. Ach, i czy wspomniałam, że czułam się szczęśliwa? Chyba szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Powoli zbierała się reszta rodziny i było oczywiste, że nie są w takich samych wspaniałych nastrojach jak ja - oprócz babci, która podejrzenie kipiała radością. Tata wydawał się spięty, mama zmęczona. Gordy był sobą, czyli miał swoją zwyczajną minę ponuraka. Zachowywał się tak przez cały czas od zerwania z Lizą.

Po obiedzie, którego prawie nie tknęłam, tata zwołał w salonie rodzinną naradę. Przeczuwałam, że będzie mowa o babci. Zdaje się, że babcia także się tego domyślała, bo powiedziała, że najpierw musi gdzieś zadzwonić.

Kiedy już wszyscy usiedliśmy, tata odchrząknął z zakłopotaniem, po czym zwrócił się wprost do babci.

- Mamo, rozmawialiśmy z Janice i...

Babcia podniosła rękę jak policjant, żeby go powstrzymać.

- Nie musisz mówić, co ci chodzi po głowie, Paul. Domyślam się. - Jej oczy iskrzyły się rozbawieniem.

- Robimy to wyłącznie z miłości do ciebie - wtrąciła pospiesznie mama. - Nie chcemy, żeby spotkało cię coś złego.

Babcia ze zrozumieniem kiwała głową.

- Uważacie, że jestem za stara i za słaba, żeby podróżować po kraju, prawda?

Tata znowu odchrząknął.

- Cóż, ja...

- Bardzo się o ciebie martwimy, kiedy wyjeżdżasz - przerwała mu mama.

Naprzeciw mnie siedział Gordy; popatrzyliśmy na siebie z niesmakiem. Choć raz całkowicie się ze sobą zgadzaliśmy.

- Cóż, tak się składa... - zaczęła babcia, przeciągając ostatnie słowa, żeby nasze napięcie wzrosło - że się z wami zgadzam.

Aż sapnęłam. Niemożliwe! Babcia nie mogła przyznać racji rodzicom, nie w tej sprawie. Przecież kiedyś mi powiedziała, że wolałaby dać się zamknąć w lochu, niż odstawić swoją przyczepę kempingową na parking. Zaczęłam się martwić, że być może jednak

postradała zmysły.

- Cieszę się, że to zrozumiałaś - odparł tata z wyraźną ulgą. - I nic się nie martw, zakotwiczenie się w jednym miejscu nie jest takie złe, kiedy się już do tego przyzwyczaisz.

Babcia patrzyła na nas sokolim spojrzeniem.

- Kto mówił, że zostanę w domu? Przyznałam wam tylko rację w kwestii nienarażania się na zbędne ryzyko. Wiem, że nie jestem tak silna jak niegdyś, przekonałam się o tym wczoraj, wspinając się na drzewo. Dlatego też postanowiłam znaleźć sobie towarzysza podróży.

Mama uniosła wysoko brwi.

- Towarzysza podróży? Na Boga, o kim mówisz... Przerwał jej dzwonek do drzwi. Babcia poderwała się, żeby je otworzyć, ale zaraz wróciła, a u jej boku stał bardzo wysoki, srebrnowłosy elegancki mężczyzna, z tak samo jak babcia opaloną twarzą.

- Kochani - zaczęła - poznajcie Howarda Dennisona, podróżnika i wykładowcę, mojego nowego towarzysza podróży. W przyszłym tygodniu wyruszamy do Montany. Howie opowiadał mi, że jest tam pewne rancho, które chyba odpowiada moim gustom.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał, bo wszystkim odebrało głos. Potem nagle zaczęliśmy mówić naraz i zadawać miliony pytań. Howard Dennison okazał się najciekawszym człowiekiem, jakiego w życiu poznaliśmy. Przez wiele godzin opowiadał nam o swoich podróżach i różnych ciekawych ludziach, których poznał w ich trakcie. Nawet Gordy, który przy obcych milczał, teraz gadał jak katarynka. Z minuty na minutę obiekcje rodziców zmniejszały się. Howard mimo osiemdziesięciu dwu lat był tak samo sprawny psychicznie jak babcia. Był także w wyśmienitej formie fizycznej; powiedział, że codziennie przebiega sześć mil, co, jak z zażenowaniem przyznał tata, jest więcej, niż on wytrzymuje.

Do końca wieczoru stał nam się tak bliski jak członek rodziny. Mama zaprosiła go na niedzielną kolację, a Gordy umówił się na partię szachów. Sądzę, że rodzicom ulżyło, ponieważ nie musieli więcej martwić się o babcię. Czuli, że będzie bezpieczna z Howardem.

- Babciu - odezwałam się, kiedy zostałyśmy same - jesteś tak zaskakująca, że przebiłaś nawet mój komputer, który wprowadził tyle zamieszania przez ostatnie kilka tygodni.

Mrugnęła do ranie i poklepała po ramieniu.

- Zawsze ci powtarzam, dziecko, że życie jest ciekawsze niż komputery.

Oczywiście miała rację, ale zarazem nie mogłam oprzeć się przekonaniu, że jednak dostałam od komputerów lekcje, o którą wcale nie prosiłam.

Zdenerwowana? - zapytał Tom, kiedy przyjechał po mnie w sobotni wieczór, żeby zabrać mnie na randkę.

- Dlaczego miałabym być zdenerwowana? Przecież idziemy tylko do kina, tak?

Objął mnie ramieniem.

- Chodziło mi o to, że to jest nasza pierwsza randka, pierwsza prawdziwa.

Uśmiechnęłam się, szturchając go żartobliwie w bok.

- Nigdy nie przepuścisz okazji, żeby sobie zażartować, co?

- Uważasz, że skoro zwariowałem na twoim punkcie, to przestanę ci dokuczać?

- Nie mogę się już doczekać - zachichotałam.

Gdy wsiedliśmy do samochodu, Tom przyciągnął mnie do siebie i mocno pocałował.

- Jak ci się to podoba na początek?

- Mmmm, na jakieś dziewięć i pół.

- Dlaczego nie dziesięć?

Przysunęłam się i też go pocałowałam.

- Bo praktyka czyni mistrza.

Tom podniósł głowę i przyglądał się czemuś za oknem. Zapadał już zmierzch, ale z łatwością można było dostrzec wysoką, podobną do stracha na wróble postać wyłaniającą się zza krzaków.

- Gdzie twój brat idzie z tymi kwiatami? - zapytał Tom, pokazując na róże, które Gordy przyciskał do klatki piersiowej.

Roześmiałam się.

- Do Liz, W końcu udało mi się go przekonać, że trochę romantyzmu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Te róże to pomysł mamy, ale Gordy, jak widzisz, jest trochę skrepowany całą sytuacją.

- Sądzisz, że to podziła na Liz?

- Pewnie najpierw zemdleje, ale potem... tak, sądzę, że podziła.

- Widzisz - rzucił Tom, a jego oczy rozświeciły się czułością. - Projekt Kupidyn ostatecznie nie okazał się takim niewypałem.

- Wcale nie był niewypałem. - Westchnęłam i rozmarzona przytuliłam się do swojego chłopaka.